



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Wspomnienia z podróży do Ameryki / skreślił Jan Pindór.

Liczba stron oryginału

148

Liczba plików skanów

148

Liczba plików publikacji

149

Sygnatura/numer zespołu

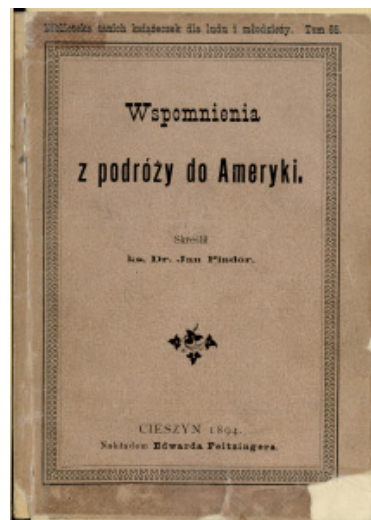
C I 003813

Data wydania oryginału

1894

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Wspomnienia z podróży do Ameryki.

Skreślił

ks. Dr. Jan Pindór.



CIESZYN 1894.

Nakładem **Edwarda Feitzingera.**

„Biblioteka tanich książeczek dla ludu i młodzieży“.

Cena każdego zwyczajnego dziełka tylko 20 ct. = 35 fen., przy większych lub oprawnych, cena podana.

Tom

1. **Abelino, straszny bandyta**, Powieść z dziejów Wenecyi.
2. **Córka sybirskiego wygnańca**. Powieść z niedalekiej przeszłości.
3. **Jadwiga, oblubienica bandyty**. Powieść osnuta na tle dramatu Kernerera.
4. **Jan Okpiświat**, (zwany Sowizdrzałem), słynny swego czasu trefniś; jego figle i awantury. Powieść komiczna ku rozweseleniu czytelników.
5. **Krzysztof Kolumb**, czyli odkrycie Ameryki. Opowiadanie dla ludu.
6. **Losy Genowefy**. Ciekawa i wzruszająca historia dla dojrzałej młodzieży i dla wszystkich, osobiście nieszczęśliwych i zasmuconych jako źródło pociechy i wzór, godny naśladowania.
7. **Młynarz i jego dziecko**, czyli wędrówka duchów w nocy Bożego narodzenia.
8. **Przygody Robinzona Kruzoe na morzu i na lądzie**. Bardzo ciekawa i pouczająca historia dla młodzieży i dorosłych.
9. **Piękna Meluzyna**. Cudowna historia o pannie morskiej i jej walecznem potomstwie.
10. **Trzy piękne młynareczki w rękach krwawego rabusia**. Zdarzenia prawdziwe z przeszłego stulecia.
- 413 11. **Zamurowana dziewczyna**. Powieść osnuta na tle aktów sądowych z bieżącego stulecia.
12. **Życie i czyny Rynalda Rynaldyniego**, słynnego dowódcy opryszków. Romantyczne opowiadanie z przeszłego stulecia.
13. **Straszny niewiastobójca Hugo Schenk i jego wspólnicy**. Dokładna historia ich życia i wszystkich morderstw, jakoteż ostatecznego losu i stracenia. (Z obrazkami.)
- 14a i b. **Ofiara intrygi cici**. Obrazek z życia oficyalistów w Galicyi i — Tom 14b. I. **Rabin cudotworca**. Nowela. II. **Praktyczni i niepraktyczni**. Obrazek z życia kolonistów.
15. **Kochaj swój obrządek!** Obrazek z życia ludu we wschodniej Galicyi. Napisał Jul. Ant. Łukaszkiewicz i — **Krzyżacy i ich następcy**. Napisał Franciszek Kozdraś.
16. **Mistrz Twardowski**. Bardzo ciekawa, zajmująca i wesoła historia o sławnym polskim czarnoksiężniku. Spisana wiernie podług podań ludowych i starych zabytków piśmiennych.
17. **Książę Alexander Menżykow**, albo przygody pasztecjarza. Zajmująca i pouczająca powieść dla młodych i starych.
18. **Alexander, książę bułgarski**, bohater i obrońca wolności. Dokładna historia jego życia działalności: z dodatkiem wiernego obrazu Bułgaryi i Bułgarów.
19. **Doktor Jan Faust**, słynny czarnoksiężnik i humorysta. Jego życie, sprawy i wędrówka do piekła.

Wspomnienia

z podróży do Ameryki.

Skreślił

ks. Dr. Jan Pindór.



CIESZYN 1894.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

684: 284 "18" SL

C.0038131



Wspomnienia z podróży do Ameryki.

I.

Było to w lipcu minionego roku. Pewnego dnia otrzymałem list od Pana Torrey, naczelnika szkoły teologicznej w Chicago (czytaj Szikago), czybym nie mógł przybyć na kilka tygodni do Chicago w roku wystawy dla pracy misyjnej wśród tamtejszej kolonii Polaków. Osobiście ani ja Pana Torrey nie znałem, ani on mnie; wiedzieliśmy o sobie tylko przez gazety. Wskutek podróży mojej do Anglii napisała angielska religijna gazeta „The Christian“ sympatyczny artykuł o duchownej pracy wśród ewangelików polskiej mowy na Śląsku austriackim; przytem mój portret podała, a kilka miesięcy przedtem był w tej samej gazecie opis pana Torrey i pracy jego w Chicago. Ztąd nasza wzajemna o sobie wiadomość.

Wskutek wymienionego zapytania zasięgnąłem zdania kilku osobistych przyjaciół. Co do mnie, od pierwszej chwili byłem gotów przyjąć wezwanie, za czem szczególnie ta okoliczność przemawiała, iż z takiej podróży możnaby nie mało korzystać pod względem nauki i doświadczenia. Opisy o krajach i życiu narodów są bardzo zajmujące, lecz tylko niedostateczne pojęcia o rzeczy wyrabiają. Co innego jest oglądać rzecz jakąś na własne oczy, a co innego dowiedzieć się o niej przez książkę. Do tego czytałem, że podczas wystawy ma się odbyć w Chicago istna religijna walka dla

zdobycia serc Chrystusowi i słowu jego, a to mnie ogromnie ciekawiło.

Przyjaciele, których zdania zasięgnałem, jednomyślnie radzili: jechać! Napisałem tedy do Pana Torrey, że co do swojej osoby gotów jestem przybyć na niejaki czas, ale pod dwoma warunkami, mianowicie że mi koszta podróży w skromnem obliczeniu wynagrodzą, tudzież że potrzebny uzyskam urlop. Dla Amerykanina jest to rzecz trochę niezrozumiała, dla czego urlop od władz kościelnych, bo tam władz kościelnych w naszym pojęciu nie ma. Seniorat, Superintendentura, Naczelna Rada kościelna, o tem wszystkim Amerykanie nie wiedzą. Dla nich jest religia rzeczą serca, jest stosunkiem duszy do Boga, i jako duchowe życie wewnętrzne, nie zewnętrzne pielegnowania wymaga. Zewnętrzne swoje sprawy załatwiają zbory same przez swoich starszych, czyli prezbyterów w połączeniu z pastorem, lecz z czynności tej przed żadną władzą sprawy nie zdawają. Zbory tego samego wyznania łączą się z sobą w większe ciała, które Synodami nazywają, lecz połączenia takie nie potrzebują zatwierdzenia władz rządowych ani też opieki rządu nie doznawają. Stopni zaś hierarchicznych wcale nie ma; wyższym jest ten, kto z większem namaszczeniem i powodzeniem słowo Boże głosi a dusze ludzkie do Chrystusa prowadzi. Według amerykańskiego pojęcia potrzebowałem urlopu tylko ze strony zboru, od nikogo więcej. U nas jednak ma się rzecz inaczej.

Co do kosztów jazdy byłem bardzo skromnym, bom przypuszczał, że ceny jazdy zostaną niższe. W tem domniemaniu pomyliłem się jednak, bo towarzystwa okrętowe nie niższyły ale przeciwnie podniosły ceny jazdy na morzu. Ja

zażądałem 200 dolarów amerykańskich na drogę tam i sam, które mi wypłacono, a w Chicago miałem całe utrzymanie bezpłatnie.

Przypuszczałem, że w przeciągu trzech miesięcy trudno będę mógł powrócić do domu; usiłowałem się tedy uzyskać urlop na cztery miesiące, na co w końcu i presbyterstwo zboru Cieszyńskiego i władze kościoła naszego zezwoliły.

W poniedziałek wielkanocny po południu pożegnawszy się z rodziną i zborom puściłem się w drogę. W Hamburgu odwiedziłem pastora Kilburn i pojechałem do Bremen, gdzie zabawił dwa dni. Z krótkiego pobytu w tem mieście osobliwie dwie chwile utkwiły mi w pamięci. Odwiedziłem misionarza pana Krone i prosiłem, aby mi udzielił rady, jakby w tem mieście nieco grosza na cele budowy ewang. kościoła w Trzyńcu uzyskać. Krone zastanowił się nad sprawą i zwrócił mą uwagę na trudności, które w tym względzie istnieją. Radził mi jednak udać się do słynnego i znanego z gorliwości pastora Funcke. Imię jego znane jest wszędzie w Niemczech tak z pracy duszpasterskiej jak przede-wszystkiem z pism jego treści religijnej. Funcke ma szczególniejszy talent przedstawiać zdarzenia codziennego życia w świetle religii, a czyni to w tak popularny i powabny sposób, iż książki jego zgoła wśród wszystkich warstw społeczeństwa przyjęcie znajdują. Nie zapomnę tej chwili, którą na pogadance z Funcke'm spędziłem; mówiliśmy o tem i owem, szczególnie go interesowało, gdy mu opowiedział, że imię i prace jego znane są także w dalekiej Austrii, ba nawet między polską naszą ludnością ewangelicką. Znajdują się bowiem wśród polskich zborowników naszych osby, które dzieła Funcke'go w swoich domowych bibliotekach mają

i pilnie czytają. Wiadomość ta mocno go ucieszyła i poży-
skała serce jego dla naszego ludu. Chętnie oświadczył swą
gotowość być mi pomocą, żałował tylko, że tak prędko
opuszczam Bremen, bo inaczej byłby sprawę moję w swojej
gazecie polecił, Niestety, krótkość czasu stała na zawadzie,
że się nie stoło zadość jego dobrej radzie. Zwolennikom
pism Funcke'go mogę zapewnić, że autor daleko młodszym
wygląda, niż według portretu jego ksiąg wnioskować można.

Wstąpiwszy do kilku domów, które mi wskazano, ze-
brałem kilkadziesiąt marek dla Trzyńca. Szczególnie jeden
dom utkwiał mi w pamięci. Mieszkała w nim pewna bogata
wdowa, słynna z pobożności i uczynków miłosierdzia. Wstą-
piwszy do pokoju przedstawiłem siebie, kto jestem i w jakim
celu przychodzę. Krewna gospodni wprowadziła mię do
niewielkiej sali i usiadłszy słuchała moich opowiadań, potem
odeszła porozumieć się z właścicielką domu. Ja tymczasem
rozpatrując się po pokoju spostrzegłem na ścianie obraz
przecudnej piękności; przedstawiał Pana Jezusa, jako do-
brego pasterza, który szuka straconej owieczki. A jakże
była ta owieczka straconą! Malarz musiał mieć głęboką
znajomość świata i serca czlowieczego, że przedmiot w ten
sposób przedstawił. Był gęsty krzak ciernia i głogu z
ogromnymi kolcami, a owieczka się jakoś tak wśród nich
zawikłała, że nie mogła ruszyć się ani w przód ani w tył,
tylko zraniona leżała na miejscu. O własnych siłach nie
było ratunku; niechybne groziło zginienie. W tem nad-
chodzi pasterz, szukający zgubionej. Z twarzy widać jak
mu jej żal, jak troskliwie szukał, aż ją znalazł. Lecz jakże
nieszczęśliwą uwolnić z więzienia? Uchyła ciernie, odrywa
kolce, co jednak nie łatwo da się uczynić, bo krew lejąca

się z ręki jego świadczy, że się sam przytem okaleczył. Patrząc na obraz podziwiałem pomysł malarza, co tak trafnie nędzę grzesznika i miłość Zbawiciela przedstawił.

W tem przychodzi gospodyni i przynosi 50 pruskich marek na cele kościoła w Trzyńcu. Podziękowałem bardzo grzecznie i oraz przeprosiłem, żem ośmielił się naprzykrzać. W końcu dodałem jak niewdzięczne to zadanie, w szczególności dla obcego, w dalekim świecie zbierać dary na cele religijne. „O niech tak Pan nie mówi,“ odparła gospodyni; „przykrą może być ta praca, lecz się bez niej nie obejdzie! Ja sobie przypominam, co nieboszczyk mój przyjaciel, pastor N. N. zawsze powtarzał. Powiadał, że takie zbieranie jest bardzo przykre dla ciała i krwi, lecz bardzo zbawienne dla wewnętrznego człowieka.“ Krew i ciało nie lubi upokorzenia, bez którego się przy zbieraniu podobnych składek nie obejdzie; lecz dla duszy jest takowe bardzo zdrowe. Zapamiętałem sobie słowa czcigodnej, chrześcijańskiej niewiasty, a ilekroć mię następnie jakie niepowodzenie spotkało, powtarzałem jej naukę „Jest to przykrem dla ciała i krwi, lecz dla wewnętrznego człowieka nader zbawiennem.“

II.

Dnia 8. kwietnia opuściłem Bremen koło 8 godziny rano w towarzystwie wielkiej liczby podróżnych a koło 10 stanęliśmy w „Bremerhaven“. Tu stał przygotowany duży parowiec, na który wsiadłszy pojechaliśmy do ogromnego okrętu „Elbe“, stojącego na otwartem morzu. Parowce od-

bywające jazdę po Oceanie są tak ogromnych rozmiarów, że nie mogą przybić do lądu, lecz stoją na kotwicach w pewnej odległości od brzegu. Na pokładzie okrętu roilo się jak w ulu; było coś koło 1500 padróżnych, po największej części wychodźców, mężczyzn, kobiet, dzieci. Mężczyźni stawiali swoje rupiecie, o ile takowe już w wnętrzu okrętu nie były umieszczone, kobiety płakały, spoglądając na ziemię europejską, z którą się po największej części żegnały na zawsze; dzieci czepiając się sukni rodziców piszczały z przestachu, słowem był zgiełk i pisk aż nieprzyjemnie patrzeć i słuchać. Ten zamęt trwał przeszło dwie godziny; nim wszyscy podróżni znaleźli swe miejsce. Potem nastąpił porządek i spokój. Około godziny jedynastej podniesiono kotwice, maszyny weszły w ruch, powoli brzegi europejskie znikły z widnokregu — a my na otwartem byliśmy morzu. Niestety, nie mieliśmy upragnionego, jasnego widoku; przeciwnie, przechodziły deszcze i gęsta mgła wisiała w powietrzu. Około pierwszej godziny po południu się wypogodziło, w pół godziny później odezwał się dzwon okrętowy wołający do obiadu, którego cała załoga niecierpliwie oczekiwała, a potem, kto tylko mógł, zażywał świeżego powietrza na pokładzie okrętu. Była to jedna z najpiękniejszych chwil jazdy. Morze ciche i spokojne lśniło się w promieniach słońca, a okręt prędko płynął po fali. Na pokładzie najrozmaitsze głosy się odzywały. Tu rozmawiali z sobą Niemcy w najrozmaitszych narzeczach, tam stała gromadka polskich wyrobników, wynoszących się do Ameryki, tu rozmawiała rodzina polska z Pruskiego Śląska narzeczem zupełnie do naszego podobnem Tam znowu byli Słowacy, obok nich Czesi, Madziarowie, Szwedzi, Duńczycy, istna ba-

bilońska wieża! Mimo różnicy języków jedna i ta sama była treść wszystkich rozmów, mianowicie skarga na stosunki życia w Europie, tak trudne, iż człowiek niczego dorobić się nie może, a znowu nadzieją iż w Ameryce znajdą chleb przy pracy. Ja myślałem, że tego rodzaju trudność tylko w naszym kraju istnieją, zdumiałem się nie mało słysząc skargi podobne we wszystkich językach i z wszystkich dzielnic Europy. Po jakimś czasie przystąpił do mnie pewien podróżny dosyć przyzwoicie ubrany i zagadnął mię z angielska pytając, do której części Ameryki wyjeżdżam. Uważałem mię za Amerykanina wracającego z Europy. Zdziwił się słysząc, że na krótki czas tylko płynę do Nowego świata. W toku rozmowy poznałem w nim Słowaka z okolicy Koszyc. Ukończywszy służbę w wojsku wybrał się do Ameryki, znalazł robotę, zaoszczędził kilka set dalarów, kupił farmę czyli grunt a w końcu uzyskał prawo obywatelstwa w Stanach Zjednoczonych. Po ósmym raz, jak mi opowiadał, przejeżdżał przez Atlantyk, a każdym razem przechodził w wysokim stopniu morską chorobę. Teraz jechał po raz ostatni, bo powróciwszy do Węgier sprzedał i spieniężył tam wszystko swoje mienie, zabrał żonę i na stały pobyt do Ameryki wracał. Pytałem się, co sądzi o swoich ziomkach, co tak licznie do Ameryki wychodzą, a dorobiwszy się grosza wracają do domu. „Głupio robią.“ odpowiedział; „męczą się, zarabiają i szcędzą, a potem zaoszczędzone pieniądze dawają panom jednym za kolej żelazną, drugim za przewiezienie okrętem, i znowu od początku zaczynają. Gdyby mieli rozum, toby się całkowicie w Ameryce osiedlili.“ Nie chcę sądzić, czy zdanie jego było usprawiedliwione czy nie, lecz może miał słuszość.

Powoli nadchodził wieczór; słońce się skryło za morskie fale, zaczynało zmierzchać, na błękitie pojedyncze gwiazdki świeciły — pierwsza noc na morzu! Wprawdzie już przed rokiem, jadąc do Londynu, miałem sposobność spędzić kilka nocy na wodzie, lecz w ten czas czułem się tak osłabionym morską chorobą, że nie był w stanie myśleć o niczem. Tym razem miałem się lepiej; morze było spokojniejsze a ogromne okręty oceanowe nie chwieją się za lada poruszeniem fali. Chorobę morską musiałem przebyć, lecz dopiero później przyszła. Na okręcie tysiące elektrycznych świateł świeciło, większe statki zgoła wszystkie mają elektryczne światło. Wielka jest w tem dogodność. Najprzód niema niebezpieczeństwa pożaru jak przy oświetleniu naftą, a potem za jednym dotknięciem się elektrycznego konduktora tysiące a tysiące świateł wydają światłość. Tak samo jedno dotknięcie wystarczy, aby naraz wszystkie zgasić. Oprócz tego są przyrządy, za pomocą których można do woli każde światło z osobna zagasić lub zapalić.

Koło dziesiątej godziny wieczorem zabierali się podróżni do spoczynku a coraz mniejsza liczba osób była na pokładzie. Pewne niemieckie przysłowie powiada, że noc nikomu nie sprzyja. Nie nasza rzecz dochodzić, o ile ono przysłowie zgadza się z prawdą, ale to pewna, że człowiek samotny daleko więcej samotność swoją odczuwa w nocy niż we dnie. Na okręcie panowała cisza, tylko stróż nocny, stojąc w wielkim koszu przymocowanym do głównego masztu ogłaszał godziny i kwadranse. Zabierając się do spoczynku, jeszcze raz spojrzałem na nieprzebyte przestrzenie morza i wspomniałem na słowa psalmu: „W pokoju się położę a zasnę!“ — Lecz czyjeż opiece mogę się poruczyć? Piękny

jest ten okręt i majestetycznie płynie po fali, gdy sprzyja pogoda; ale cóż w ten czas, gdyby powstał orkan, lub wewnątrz okrętu jaki wypadek nieszczęścia się wydarzył? Na lądzie można się ucieczką ratować, ale na morzu jeden krok tylko poza brzeg okrętu, a niezgłębiony pochłonie cię grób. Tu człowiek czuje, jak słabem jest stworzeniem, jak wątłe to życie, jak niedostatecznem wszystko, w czem ufał na świecie. Nie umiem opisać, jak słodką było mi pociechę, gdy w głębokiem uczuciu własnej słabości do wymienionych słów psalmu mógł dodać, co tam następuje: „Ty sam Panie! czynisz, że bezpiecznie mieszkam.“ Już na lądzie potrzeba dużo niewdzięczności a przede wszystkim lekkomyślności, jeżeli człowiek zabierając się do spoczynku nocnego, z głębi serca nie westchnie do Boga i nie zawoła:

O Jezu, obroń moja!
Idę do swego pokoja,
Położę się w łóżko swoje,
Zamknij ty za mną drzwi moje!

Lecz jeżeli na morzu tego nie uczyni, musi być albo niedowiarkiem w najgłębszem słowa tego znaczeniu, albo człowiekiem w najwyższym stopniu tępym i lekkomyślnym. Nie wiem, w jakim usposobieniu umysłu się moje otoczenie znajdowało, ale co do mnie, nie zapomnę tego błogiego uczucia spokoju i bezpieczeństwa, któremu doznał onego wieczora, gdy poruczywszy się miłosierdziu wszechmocnego Boga położyłem się do odpoczynku nocnego i chwilę jeszcze rozmyślałem nad położeniem swoim. Ciągłe mi się powtarzały w pamięci słowa obietnicy Najwyższego, które rzekł do sługi swego, mówiąc: „Nie bój się. Jam tarczą twoją!“

Potem zasnąłem i spałem tak słodko, jak gdybym był w domu między swoimi. Gdy się obudziłem, już świeciło słońce, poranek był piękny — niedziela!

III.

A poniedziałek rano o świci przyплыliśmy do Southampton, miasta położonego na południowym brzegu Anglii. Tu miałem wysiąść na brzeg i udać się na kilka dni do Londynu. Nie wiedząc, o której godzinie staniemy na miejscu postanowiłem wstać jak najwcześniej i spędzić poranek na pokładzie okrętu. O trzeciej godzinie rano, gdy jeszcze wszyscy spali, ubrałem się, zabrałem swoje rzeczy i usiadłem na pokładzie. Pogoda sprzyjała, na błękitie tysiące gwiazd świeciło, morze było spokojne, szumiały tylko wały, które wskutek biegu okrętu powstawały. Ta cisza uroczą, ta samotność na nieprzebytych falach oceanu, ten błękit prześliczny gwiazdami zasiany mimowolnie człowieka nabożeństwem ogarnia. W takiej świątyni natury mimowolnie wznosi się myśl do Boga, unosi się nad jego wszechmocą, mądrością, dobrocią. W pewnem znaczeniu sprawdza się słowo apostoła, który mówi: „Przybliżcie się ku Bogu, a przybliży się ku wam.“ W podobnych dumaniach spędziłem przeszło godzinę, z wyteżoną uwagą oglądając te prześliczne gwiazdy niebieskie co tak jaśnie wśród pogodnej nocy świeciły. Następnie spojrzałem w stronę wschodu, gdzie się niebo jaśnić zaczynało; paliły się słabe brzaski poranne, wśród których gwiazdy bladły i powoli znikwały; potem coraz jaśniejsze kolory zorzy porannej — a w końcu

słońce wydobywa się z poza fali morskiej, czyste, wielkie, pogodne! Promienie jego podające z ukosa odbijały się od spokojnej fali, nadawając jej jasność lśniącego kryształu. Jakże cudownie pięknem jest to morze, gdy spokojne i słońca pogodnego promieniem olśnione; a znowu jak strasznie wygląda, gdy miotane burzą przeraźliwie huczy i niby wściekle pieni się i zżyma!

W Southampton wysiadłem na brzeg Anglii i udałem się do Londynu, gdzie w misyjnym zakładzie Doktora Guinness znalazłem przyjęcie. Miałem zamiar zebrać nieco grosza na budowę ewang. kościoła w Trzyńcu, przekonałem się jednak, że ta sprawa nie jest tak łatwą. Cieszę się, że przecież nieco osiągnął, ale nikt nie uwierzy, ile mię zabiegów kosztowało. Na nieszczęście, krótki czas przed mojem przybyciem jeden ze znaczniejszych banków londyńskich upadł i ogromne straty za sobą pociągnął; klęska dotknęła najbardziej religijne koła społeczeństwa. Bankier bowiem okazał się oszustem; okrył się płaszczykiem udanej pobożności, wspierał rozmaite religijne przedsięwzięcia, uczęszczał pilnie na nabożeństwa i tym sposobem zjednał sobie zaufanie religijnych warstw ludności, która zaoszczędzony grosz swój w jego banku składała na oszczędność. Gdy wkładki doszły do wysokości jakich 60 milionów funtów, miły bankier potrafił jakoś cichaczem zabrać znaczną część owych milionów i uciekł z nimi gdzieś do Południowej Ameryki. Strony prawie wszystkie swoje wkładki straciły. Rozumie się, że ta okoliczność ogromnie niekorzystnie na moje zamiary wpłynęła.

Nie mam zamiaru opisywać pobytu swego w Londynie, obraz życia tego miasta na innem miejscu podałem, wy-

mienie tylko dwa czy trzy szczegóły które mi więcej od innych w pamięci utkwiły.

Pewnego wieczora przechadzałem się w ogrodzie Doktora Guinness ze studentami zakładu i jakoś się trafiło, że ich tylko dwóch przy mnie zostało, z którymi przez dłuższy czas rozmawiałem, naturalnie po angielsku. Byli to ludzie młodzi, dla mnie nadzwyczaj ciekawi ze względu na pochodzenie swoje. Jeden był murzyn, rodem z okolicy rzeki Kongo w Afryce, drugi Indyjczyk rodem z okolicy świętego miasta Benares w Indyach Wschodnich. Murzyn urodził się z rodziców najzupełniej dzikich i nigdy w dzieciństwie swoim białego człowieka nie widział. Gdy miał lat dwanaście — obecnie liczył 16 — powstał pewnej nocy w osadzie jego szczepu rodzinnego przeraźliwy krzyk; jeden z sąsiednich szczepów murzyńskich wpadł znienacka zbrojną ręką do ich wioski, pałac, mordując, niszcząc. Biedny chłopiec widział, jak cała osada spłonęła w płomieniach, jak matkę, ojca i braci jego mordowano. W tem jeden z najezdców wyciąga włócznię, aby go zabił; w przerażeniu śmierci stracił przytomność zmysłów, a gdy się opamiętał miał ręce związane — był w niewoli, prawcy wzniecił najprzód ogromny ogień i napiekli mięsa ludzkiego, a gdy się posilili, zabrali swych jeńców, aby ich gdzieś daleko sprzedać na targu jako niewolników. Biedny chłopczynek przechodził z ręki do ręki, aż gdzieś blisko brzegu morskiego natrafił właściciel jego na Europejczyka, którym był czy kupiec czy misyonarz angielski. Ten ulitował Osie biednego jeńca i chciał go wykupić z niewoli. Młody murzyn zaczął przeraźliwie krzyczeć, nigdy bowiem dotąd białego człowieka nie widział, myślał, że to djabeł i chce go

żywcem zjeść. Według pojęcia murzynów nie jest bowiem djabeł czarnym, lecz białym, a anioł jest czarnym. Żadnym sposobem nie było można trwogi jego ukoić, ilekroć Anglik usta otworzył, biedny murzyński chłopiec zamykał oczy i jęczał z rozpacz. Powoli jednak przyzwyczaił się do nowego pana, widząc, że mu żadnej krzywdy nie czyni, choć zawsze lękał się przyszłości. Właściciel jego odesłał go do Londynu, aby się wychował w wierze chrześcijańskiej i wykształcił na misjonarza dla swego narodu. Murzyn bawi już przeszło 2 lata w zakładzie Doktora Guinness, nauczył się po angielsku, uczęszcza do szkoły, a gdy zostanie ochrzczonym, ma po upływie 2 lat udać się do rodzinnego szczepu swojego jako misjonarz. Białych ludzi nie lęka się więcej, ale smutne doświadczenia lat dziecinnych wpłynęły na myśl jego i zrobiły go bardzo bojaźliwym.

Indyńczyk liczył lat 18, był wysmukłej budowy ciała, rudych włosów, oko miał żywe i palające, słowem śliczny był to młodzieniec, acz cała jego postawa świadczyła, że nie pod naszym urodził i wychował się niebem. Po angielsku mówił dobrze. Rozmawiałem z nim o ślicznej ziemi indyjskiej; opowiadał mi, jak tak tęskni za południową ojczyzną swoją, jak wygląda chwili, w której opuści zimne kraje północy a na bujnych niwach rodzinnej ziemi postanie, gdzie ludność gęsta mieszka, ale nikomu jak w Europie, kawałka chleba nie brakuje. Ktokolwiek choć trochę zechce pracować, obfite znajduje wyżywienie.

Pytałem się, czy ludność Indyj jeszcze Europejczyków względnie Anglików nienawidzi? „O nie,” odpowiedział; „tak było dawniej, gdy nas Europejczycy wyzyskiwali. Dziś się rzeczy zmieniły; myśmy poznali, że pod zwierchnictwem

Anglii mamy w kraju porządek i pokój; wojny domowe ustały, praca i dobrobyt kwitną. Dziś uważamy Anglików nie jako wrogów, lecz jako przyjaciół i opiekunów, tylko religii ludu nie śmia naruszać. Gdy ten przedmiot poruszają, Indyjczy kstaje się milczącym, nieufnym, odpornym. Ludy nasze nie chcą porzucić religii, w której się wychowały. W szczególności stoją na przeszkodzie kasty indyjskie, t. j. podział ludności na pewne stany, które są ściśle od siebie odłączone. Chrześcijaństwo jeżeli robi postępy, to tylko między najuboższymi warstwami ludności.“ Pytałem się, czy jego rodzice jeszcze żyją? „Owszem, żyją,“ odpowiedział, „i wyznawają religią pogańską. Najbardziej ich zasmuciłem, żem został chrześcianinem. Oni by woleli wiedzieć mię umarłym niż chrześcianinem.“ To rzekłszy spuścił głowę i widocznie posmutniał, a ja po pierwszy raz w życiu miałem sposobność poznać myśl słów Chrystusowych, który powiada: „Kto miłuje ojca albo matkę nad mię, nie jest mię godzien.“ Mat. 10. 37. Rozmowa z młodym Indyjczykiem, który się wszystkiego wyrzekł dla Chrystusa, głęboko mi w sercu utkwiała. Dziś może już jest w drodze do ojczyzny swojej, bo zamierzał za niejaki czas wracać do domu, aby wśród narodu swego służył Chrystusowi na polu misyi. Niech Pan żniwa raczy błogosławić pracy tego zacnego młodzieńca!

IV.

Podczas pobytu mego w Londynie miałem najśliczniejszą pogodę, korzystałem tedy z czasu jak najlepiej umiałem, bywałem na wykładach teologicznych, misyjnych, na zgroma-

dzeniach towarzystw wstrzemięźliwości, na nabożeństwach w kościołach i salach. Gdzie jaka sposobność się nadarzyła do poznania religijnych prac angielskiego narodu, nie omieszkalem z takowej skorzystać.

W niedzielę po południu, dnia 16. kwietnia, poszedłem do ogrodu „Victoria Park“, chciałem sobie obejrzeć życie Londyńczyków na miejscach publicznych. Dzień był pogodny i ciepły, przypuszczać należało, że w parku mnóstwo ludzi będzie. O drugiej godzinie po południu stanąłem na miejscu i miałem się czemu przypatrzeć. Zaraz u wejścia spotkałem gromadkę ludzi stojących i śpiewających pieśni nabożne. Była to grupa członków Armii zbawienia; szczególnie dwie starsze osoby śpiewały bardzo rzewnie i z namaszczeniem, widać było, że ten śpiew z serca pochodzi. Koło nich stało jakich 50 ludzi, przechodniów, co się patrzali i słuchali. Te pieśni angielskie i żywe ich melodye dziwnie do serca trafiają. W tem jeden z członków występuje na przygotowaną ławkę a odzywa się do zgromadzonych prostymi i gorliwemi słowy. Nie mówił uczonemi wyrazami, lecz prosto, jak umiał, od serca przemówił, czem było życie jego bez Chrystusa i czem się stało, gdy znalazł Chrystusa. Widziałem, że świadectwo jego dziwne wywarło wrażenia na słuchających. Poszedłem dalej o kilka kroków, stały tam trzy czy cztery gromady ludzi, a w środku każdej znajdował się mowca. Pod drzewem stał jakiś starszy wyrobnik, murzyn, i kazał. Mówił po angielsku, lecz było widać, iż się nie urodził w Anglii, mówił nie bardzo płynnie. Ale co mówił, miało cechę głębokiego przekonania i własnego doświadczenia, a to prawie na ludzi prostszych dziwnie oddziaływało. O kilka kroków dalej stała gromada

ludzi pięknie ubranych, widać wyższego stanu; wszyscy mieli albo małeńkie kancyonały w ręku, które z sobą zabrali, albo też śpiewali z pamięci. Ta grupa była najokazalszą. Naraz występuje jeden ze zgromadzenia na przygotowany stół i wygłosił mowę religijnej treści, którą tak pod względem formy jak myśli można było nazywać wzorową. Przypatrzyłem się mowcy nieco lepiej, i poznałem, był to jeden z kaznodziei londyńskich, każących także na publicznych miejscach, ale nie miał żadnej oznaki stanu swego. Tak przechodziłem od gromady do gromady, a wszędzie ten sam widok. Naraz obracam się nazad i zdumiałem się nad nowym widokiem. W pobliżu pierwszej grupy była przestrzeń jakich trzech lub czterech morgów ziemi zajęta jakimś zgromadzeniem ludowym. Około 70 proporców ogromnej wielkości powiewało w powietrzu; każdy z nich rozpięty między dwoma drążkami, które tkwiły w ziemi lub w ręku ludzi się znajdowały. Na proporcach były napisy ciał, do których należały. Koło tych chorągwi uwijało się zgromadzenie jakich 50 tysięcy dusz! W pierwszej chwili nie wiedziałem, co to znaczy, czy jaka wycieczka ludowa lub co podobnego? Zgromadzenie odbywało się w zupełnym porządku, bez hałasu, bez krzyku; tu i ówdzie stały mownice, z których przemawiali mowcy. Z ruchów i oburzenia widać było, że o coś ważnego chodzi. Lecz z tego co posłyszałem, nie mogłem się domyślić znaczenia. Zwróciłem się więc do jednego z obecnych z zapytaniem, co to wszystko znaczy? „A strike demonstration of the dock-workmen“, odpowiada; t. z. demonstracya strejkujących robotników przy robotach portowych. To mię naturalnie bardzo zaciekało; chciałem widzieć, jak angielscy robotnicy strajkują. Wsu-

nałem się pomiędzy nich, słuchałem ich wywodów, przypatrywałem się ich postępowaniu i szczerego nabyłem poszanowania tak dla robotników jak dla rządu angielskiego.

Widziałem zgromadzenie jakich 50 tysięcy robotników; oglądałem się, gdzie policya i wojsko, któreby ich albo rozpędziło albo przynajmniej porządek utrzymało. Lecz na próżno ich szukałem; żołnierza nie było na miejscu ani jednego, a policyantów widziałem trzech, którzy jak angielska policya w ogóle nie mieli broni, tylko oznaki urzędu swojego. Przytem wszyskiem był porządek wzorowy. W całym zgromadzeniu nie widziałem nigdzie ani jednego pijanego człowieka; nie słyszałem żadnych hałasów, nie widziałem wybryków, cała demonstracya była aktem trzeźwych, umiarkowanych, intelligentnych ale energicznych ludzi, którzy wiedzą, co im dolega, ale też praw swoich w sposób poważny bronić umieją. Spokojnie, bez wszelkich rozruchów wymaszerowali w pole, w szelkim porządku odbyli swoje narady, a potem spokojnie jak przyszli tak odeszli do domu. Trzeźwość, spokojność i jednomyślność były cechą tego zgromadzenia.

Nie tak spokojnie odbyło się inne zebranie, którego w Londynie byłem świadkiem. Prawie o tym samym czasie przedłożył ktoś w angielskim parlamencie wniosek ustawy regulującej sprzedawania trunków, a mianowicie w tej myśli, aby w niedziele i święta wszystkie szynkownie przez cały dzień były zamknięte, tudzież aby się w dni robocze o 10 godzinie wieczór a w sobotę o 5 godzinie popołudniu zamykały. Szynkarze i pijacy prześledujący tę ustawę mieli ciężkim podpadać karom. Wniosek ten nazywano „Veto-bill“, czyli ustawą zakazującą.

Można sobie wyobrazić, jaki popłoch przez to powstał.

Producenci, handlarze, konsumenci upajających napojów zaczęli krzyczeć: Ratujcie! Toć istny zamach stanu na nas, którzy największe podatki opłacamy! Natomiast stronnictwo religijne woła, że zdrowie, siła i moralność narodu daleko więcej znaczą, niż wszystkie podatki od trunków, choćby dziesięć razy tak wielkie były. W tym celu urządziło stronnictwo religijne rodzaj wiecu w Great Assembly Hall, t. j. w jednym z największych kościołów Londynu zgromadzenie. Na porządku dziennym były przemówienia poważnych osób angielskiego społeczeństwa. Wstęp był wolny za okazaniem odnośnego biletu. Ja miałem kartę wstępną między osoby zajmujące miejsce na mównicy, czyli platform, jak to anglicy nazywają. Stałem w oznaczonym czasie na miejscu, ale wyznam, że takiego zgromadzenia, jak żyję, nie widział ani też więcej widzieć nie chcę. Nie wiem nawet, jakom się ztąd wydostał.

Gdy stanąłem na miejscu, znalazłem Great Assembly Hall szczelnie zapchaną; przynajmniej dziesięć tysięcy ludzi tam było. Chciałem się wrócić do domu, lecz pewien misjonarz porwał mnie za ramię i zaprowadził jakimś pobocznym gankiem na miejsce. Religijna partya umieściła się na galeryach, a na dole zajęli miejsce pijacy. Zebranie rozpoczęło się o siódmej godzinie wieczór, ale już w południe tego samego dnia właściciele browarów i wyszynków urządzili bezpłatną pijatykę: kto tylko chciał, dostał wódki i piwa za darmo, pod tym warunkiem, że pójdzie na zgromadzenie do Assembly Hall i będzie przeszkadzał. To też zebrało się jakich pięć tysięcy zupełnie lub na wpół pijanych osób; ci zajęli dolne części świątyni i próbowali gwałtem wypędzić zgromadzenie. Był to istny cud, że do rozlewu krwi

nie przyszło. Pijacy musieli się ograniczyć do straszego, przeraźliwego wycia, tak iż na zebraniu ani jednego słowa nie było można przemówić. Słyszałem w świecie niejednen hałas; słyszałem wycie dzikich bestyj w menażeryach, słyszałem szum gwałtownego wiatru i burzy, słyszałem, co daleko jest straszniejsze, wycie bałwanów wzburzonego morza, gdy się obijały o okręt i miotaly nim, jakby drzewa kawałkiem, a ten huk wzburzonych żywiołów dreszczem przekrusza serce. Mimowolnie przychodzą na myśl słowa Psalmu: „Panie, cóż jest człowiek?” Ale wszystek ten łoskot nie da się porównać z wyciem wściekłych pijaków w Great Assembly Hall. W walce żywiołów objawia się potęga, słyszysz jakiś odgłos majestatu, straszny wprawdzie, lecz harmonijny. W wyciu rozpiętego zgromadzenia słyszałem tylko zgrozę i rozbestwienie. Prawdą jest, co pewien niemiecki poeta powiada, że ze wszystkich strachów najstraszniejszym jest człowiek, gdy w grzechu oszaleje.

Jakiż był koniec tego zebrania? Ja usiłowałem się dostać się na dwór, skoro się tylko sposobność nadarzyła i nie czekałem końca. Przemówienia nie było ani jednego bo ryk nieopisany zagłuszył każde słowo. Lecz gdy mówić nie było można, przyszedł ktoś na pomysł napisać na tablicy dla pieśni słowa: „Veto bill”. Tę tablicę podniesiono w górę niby sztandar stronnictwa; na ten znak jedni wydali okrzyk zwycięstwa, drudzy zaś krzyk i syk oburzenia. Lecz gdy przeciwne stronnictwo szalało w wściekłości, zanucił ktoś z obecnych pieśń nabożną, podobną do pieśni: „Grodem mocnym jest Bóg wieczny!” Tysiące głosów przyłączyło się do niego, i jakby strumień potężny płynął śpiew zgromadzenia. Pijacy zostali ogłuszeni, zmie-

szali się, przycichli, nie wiedzieli, co począć. Tak religia zwyciężyła rozbestwienie! Tak stało się w Great Assembly Hall, tak bywa w świecie, a tak jedynie może być i dnia dzisiejszego.

Ja wracając do domu powtarzałem słowa pieśni:

Choćby świat był djabłów pełny,
Pragnących nas pochłonać,
Odpór damy im rzetelny,
Strach nas nie ma ozionąć.
Książę świata wzrok
Groźny rzuca w bok!
Próżno się sroży,
Skazał go sąd Boży.
Ten go słówkiem rozbroi.

V.

Dnia 26. kwietnia opuściłem Londyn o 8 godzinie rano, a o 11 stanąłem w Southampton. Blisko brzegu ujrzałem już okręt „Havel“ stojący na kotwicach, by zabrać podróżnych z Anglii. Nie mało się ucieszyłem, widząc że „Havel“ musi być jednym z najlepszych okrętów oceanowych, kiedy w przeciągu 25 godzin odbył jazdę z Bremerhaven do Southampton, na którą okręt „Elbe“ potrzebował przeszło 40 godzin. Dowiedziałem się następnie, że Havel i Spree są dwa najnowsze i najlepsze okręty „Niemieckiego Llojdu“, a zatem przyjemnie będzie jednym z nich pojechać. Okręt Spree miał wprawdzie minionej jesieni bardzo fatalny wypadek. Pewnego poranku o świecie uczuli

podróżni w odległości jakich 200 mil od Anglii dziwne wstrząśnienie okrętu, niewiedzieli jednak, co znaczy. Za chwilę rozlega się krzyk, w kajucie drugiej klasy, woda! W kilku sekundach sale drugiej klasy napęłniły się wodą, okręt utracił ruch i zaczynał tonąć. Śruba parowa pękła i zrobiła dziurę do ciała okrętu. Chwilę się zdawało, że wszystko stracone. Uszkodzenie jednakowoż nie było tak wielkie; udało się zatkać otwór i wyczerpać wodę, ale maszyny były zepsute i okręt nie mógł dalej płynąć. Stał się podobnym do kawałka drzewa, którem woda miota gdzie chce. Położenie załogi było rozpaczliwe. W ogromnem rozdrażnieniu umysłowem, trwającym przez kilka dni, niektóre osoby oszalały; pewien młodzieniec wracając od narzeczonej swojej w Wiedniu, skoczył w wodę i więcej na wierzch nie wypłynął, pewien żyd z Rosyi wołał w pomieszczeniu zmysłów; „Jam jest Jonasz! Dla mnie to złe przyszło na was. Wrzucicie mnie w morze!“ Nocami zapalano panwie ze smołą na pokładzie, aby luną dać znać o niebezpieczeństwie, gdyby jaki okręt przejeżdżał. Na trzeci dzień rzeczywiście zjawił się okręt amerykański, jadący do Europy i przyniósł im pomoc. Rozczulającym miało być nabożeństwo dziękczynne, które się po ocaleniu odbyło na pokładzie! Ludzie, co od dzieciństwa nie wspomnieli na Boga, płakali jak dzieci. Wierzący i niedowiarkowie, chrześcijanie i żydzi, ewangelicy i katolicy, wszyscy razem tworzyli jedno zgromadzenie jedno serce i dusza jedna, połączeni w dziękowaniu Panu Bogu słowami 107. Psalmu

Tak się stało minionej jesieni na okręcie Spree — czyż nie mogło stać się podobnie tej wiosny na okręcie Havel? Wiedziałem o tem, jednak z spokojnym umysłem

ufny w opiekę Najwyższego wsiadłem, odszukałem miejsce swoje, uporządkowałem rzeczy a potem stanąłem na pokładzie. Na około były brzegi i wyspy pięknej Anglii ubranej w szatę wiosny.

O pierwszej godzinie po południu odezwał się dzwon okrętowy, podniesiono kotwice, huknęły trąby, zagrała muzyka okrętowa, a oczy wszystkie podróżnych zwróciły się po raz ostatni na Europę. Płynęliśmy w pobliżu miast, miasteczek i fortec angielskich, po prawej ręce mieliśmy ogromne skały kredy, sterczące z morza, a na nich stada ptactwa morskiego. Powoli i te ślady życia znikały a przed nami otwierały się nieprzebyte przestworza Atlantyku. Pod wieczór zarysowały się jeszcze na dalekim widnokręgu południowe brzegi Irlandyii, po zachodzie słońca pojawiły się z tejże strony pojedyncze światełka, były to latarnie morskie stojące na skałach i wysepkach jako znaki przestrogi dla żeglarza, ale powoli i te rzednąć zaczęły. O dziewiątej godzinie, poruczywszy się opiece Najwyższego, udałem się do spoczynku. Na pokładzie długo jeszcze było gwarno; niebo było jasne, morze spokojne a od wschodu przyjemny, wiosenny wionął wiatr.

Następnego dnia było trochę mglisto i chmurno, morze dosyć spokojne. Lecz na Oceanie zawsze idą wały wodne; idą powoli i spokojnie, niekiedy w wysokości znacznego domu i kołysają okrętem jakby kołyską. Poruszenia te są wcale przyjemne, tylko że z początku wzbudzają cikliwość w żołądku, nim się podróżny przyzwyczai. Każdego dnia w południe wypisują na tablicy, ile mil okręt w przeciągu ostatnich 24 godzin upłynął, oraz oznaczają miejsce na mapie, gdzie się w tej chwili znajduje. Rozumie się, że każdy z

podróżnych biegnie przez ciekawość oglądać, skoro będzie połowa drogi odbyta lub jak daleko jeszcze do celu. Okręt nasz odbywał każdy dzień przestrzeń przynajmniej tak daleką, jak od nas do Tryestu lub dalej; zależało to od wiatru, spokojności morza i jasnej pogody, bo gdy mgła, muszą okręty zwolnić biegu i ustawicznie dawać znaki trąbą, aby się przypadkowo z jakim innym okrętem nie spotkały. Uderzenie dwóch okrętów z sobą niechybny sprawia upadek.

Po południu tegoż samego dnia pojawiły się u mnie ślady morskiej choroby, przed którą się dotąd zdołałem uchronić. Ból głowy i cikliwość zwiastowały, co mię czeka. Udałem się natychmiast do spoczynku — i dosyć łagodnie przebywałem chorobę. W piątek rano wstałem wcześniej i udałem się na pokład okrętu z parazolem w rękę, bo padał deszcz; lecz na morską chorobę nie ma lepszego lekarstwa jak ruch na świeżem powietrzu. Przez cały dzień nie wziąłem do ust ani pokarmu ani napoju i podwieczór czułem się zdrowszym. Wieczór poszedłem wcześniej do spoczynku a w sobotę rano było po chorobie. Cieszyłem się, że odtąd przyjemniejszą będę miał jazdę, bo obawa przed chorobą i nieprzyjemności takowej minęły. Niestety bardzo się zawiódłem.

W sobotę rano był dzień dosyć pogodny. Podróżni zajęli miejsca na pokładzie i każdy się bawił jak mógł, spacerem, pogadanką i t. d., bo na okręcie zbliżają się ludzie do siebie bardzo prędko. Może się przedtem w życiu nie widzieli, a może się później więcej nie spotkają, lecz teraz w drodze są towarzyszami doli i niedoli, przeto zabierają z sobą znajomość, gawędzą i tą koleją można się

w krótkim czasie ciekawych rzeczy z najróżniejszych stron świata dowiedzieć. W szczególności zaś mieszkańcy tej samej kajuty muszą z sobą spółkować.

Wały morskie nie były dziś duże, ale czego dotąd nie widziałem, robiły się na głowach ich białe grzebienie, czyli białe czubki. Te postają przez silniejsze wstrząśnienie wody, gdy się wał o wał obija; wtenczas się słona woda morska pieni, jakby piana mydła po niej pływała. Te czubki białe są zawsze niechybnym zwiastunem wzburzenia na morzu. W pierwszej chwili były bałwany dosyć nieznaczne, ale już około 10 godziny przed południem, lubo słońce świeciło i wiatru nie było, piętrzyły się coraz wyżej, trzęsły okrętem coraz silniej, a pianę i wodę aż na pokład miotały. O jedenastej godzinie musieliśmy opuścić pokład i cofnąć się do wnętrza okrętu, bo kołysanie stawało się niebezpiecznem, a wały wody przelewały się przez pokład, lubo okręt na jakie dwa sążnie wystawał z wody. Pod wieczór szalała burza, okręt skakał wśród huczących bałwanów jak sarna, rzucany w górę, to znowu wrywał się do głębi jak ryba do wody. Na około nie było widać nic tylko pianę szalejących bałwanów, nie słyszeć nic jak huk nieprzerwany wyjącego morza i jęk pokładu, gdy burzą w powietrze rzucone bałwany z gwałtownym łoskotem nań spadały. Nieraz się zdawało, że wszystkie belki pokładu połamią. A we wnętrzu okrętu obraz nie do opisania. Wszyscy podróżni byli w swojej pościeli, bo na nogach ani na krześle nikt się nie utrzymał. Leżąc musiał się każdy trzymać, aby z łoża nie wypadł na ziemię, bo raz stawał jakby na głowie, po wtóre na nogach, raz się kołysał na prawą, za chwilę na lewą stronę. Ja sam przywiązałem się pasem na swojej

pościeli, abym zdrzemnąwszy się nie wypadł na podłogę. Do tego trzeba sobie wyobrazić jęki i narzekania chorych, bo wśród burzy i najsilniejsi ulegają morskiej chorobie, a to w stopniu przerażającym! Wymioty są tak straszne, kurcze żołądka tak bolesne, iż się zdaje, że człowiek wszystkie wewnętrzności utraci. O pokarmie w takiej porze nie ma mowy, już widok potrawy sprawia obrzydzenie. Każdy otyły opada z ciała, daleko pewniej niż gdyby w miejscach kąpielowych szukał lekarstwa. Burza trwała przez 48 godzin, najbardziej szalała w niedzielę dnia 30. kwietnia i dopiero w poniedziałek dnia 1. maja pod wieczór ustala. Wynędzniałe postacie podróżnych zaczęły się pojawiać na pokładzie, ale tylko pojedyncze, większa liczba osób nie była jeszcze w stanie podnieść się z pościeli.

We wtorek mieliśmy znowu jazdę spokojną i wszyscy chorzy wracali do zdrowia. Odległość od Ameryki stawała się coraz mniejszą. We środę było usposobienie umysłów bardzo uroczyste, każdej chwili musieliśmy zbliżyć się do brzegu. Niestety, widnokrąg zalegała mgła a deszcz lał bez przerwy. Po obiedzie cała załoga stała na pokładzie, aż o wpół do trzeciej rozległ się okrzyk: „ład! ład!“ Pierwszy przylądek amerykańskiego brzegu się pokazał! Był to nie wielki kawałek suchej ziemi, okryty zielenią: nie było tam ani ludzkiej strzechy ani drzew kwitnących, lecz nam się wydawał jakby istny raj! Oko nasze nie widziało przez tyle dni nic więcej jak pieniającą się wodę a tu i ówdzie kilka w niej delfinów, przeto z upodobaniem spoczywało na kobiercu świeżej trawy zielonej. Nie jedno serce westchnęło w cichości: Dzięki Tobie Boże.

VI.

W środe po południu, dnia 3. maja zawijaliśmy do pierwszego amerykańskiego portu w Nowym Yorku. Niestety deszcz lał strumieniami, iż nie mogliśmy widzieć, co ma w podróży do Ameryki być najsliczniejszego, mianowicie wjazdu do Nowego Yorku w całej jego wspaniałości. Mimo to zgola wszyscy podróżni stali na pokładzie z parasolami w rękę, podziwiając, co się widzieć dało. Najprzód przejechaliśmy koło ogromnego szpitala, położonego na szerokiej skale w morzu, gdzie wysyłają zapowietrzonych. Gdy kto na okręcie zachoruje na jaką zaraźliwą chorobę, nie wpuszczają go do kraju, lecz składają w tym szpitalu, aż minie niebezpieczeństwo zarazy. Potem musi albo wracać do Europy albo mu pozwolą zostać w Ameryce. W pobliżu tego miejsca przybył na okręt nasz lekarz rządowy, aby się przekonać o stanie zdrowia, który był jak najlepszy, bo oprócz morskiej choroby nie było żadnego wypadku. Następnie pojawiły się przedmieścia Nowego Yorku, a u wejścia do portu ogromnych rozmiarów posąg bogini wolności, trzymającej po nad głową godło Stanów Zjednoczonych, orła amerykańskiego. W nocy pełni ten posąg służył latarni morskiej. Dalej widać wysepki, domy, fabryki a po wodzie uwija się niezliczone mnóstwo okrętów, towarowych, osobowych, salonowych, łodzi i łódek, a wszystkie piękne i okazałe, jakich w portach europejskich nigdzie nie widać. Morze wszędzie jest głębokie, tak że największe okręty aż pod same mury domów podjeżdżają. Widok portu nowo-yorskiego jest tak malowniczy i zachwycający, że możnaby całymi dniami sie-

dzieć na brzegu a podziwiać ten ustawiczny rój okrętów uwijających się na wszystkie strony.

Po upływie znacznej chwili zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie okręty Niemieckiego Lloyd'u stawają, bo każde towarzystwo okrętowe ma swoje osobne stanowisko — że tak powiem, swój dworzec. Maszyny nasze stanęły, niewielki okręt inny nadjechał, przywiązał ogromną żelazną linę do naszego okrętu i wciągnął go na miejsce, prawie jak do stajni, bo go tam uwiązano łańcuchami u brzegu, jak konia wiąza u żłobu. Nam nie pozwolono opuszczać okrętu, bo się przybliżał wieczór, a urzędnicy cłowi nie mogą tak prędko ukończyć rewizyi.

Ledwieśmy stanęli, odrazu nagarnęło się przekupek i chłopców z owocami, ciastami, kiełbasami i t. p. a wszystkie te rzeczy w chwili rozebrano. Pierwszy raz w życiu jadłem świeże amerykańskie jabłka, które o tej porze z południowych okolic kraju sprowadzają.

Następnego poranku zaczęła się rewizya i wszystkie inne formalności połączone z wylądowaniem na amerykańskim brzegu. Niegdyś było wolno każdemu przyjechać do kraju, dziś już władze każdego przychodnia należycie zrewidują, aby się przekonać, kim jest, dokąd idzie i czego szuka. Nie można się temu dziwować, zważywszy, że przybywający przychodzą na stały pobyt do kraju, a dla żadnego rządu nie może być rzeczą obojętną, czy się w kraju osiedlają ludzie porządni albo czy tylko wyrzutki społeczeństwa.

Po rewizyi znajdowaliśmy się w pewnej dużej sali i miano nas przewieść okrętem państwowem do wnętrza miasta. Nowy York ma bowiem szczególniejszą postać. Wygląda jak spiczasty klin wbity w morze, w kierunku od północy ku

południowi, ma przeto kilka mil długości lecz tylko ćwierć mili szerokości. Cieśnina morska dzieli go od wschodu od wyspy Long Island (Ajland), na której jest miasto Brooklyn, a druga cieśnina od kontynentu i miast Hoboken i Jersey City.

Widziałem niejedno wielkie miasto, lecz z tych wszystkich, które widziałem, jest Nowy York najpiękniejszym; w ogóle nie wiem, czy które inne miasto w świecie może się co do piękności położenia, otoczenia, budowy, czystości i porządku równać z Nowym Yorkiem. Ulice wszystkich amerykańskich miast idą jedne wzdłuż a drugie w szerz miasta; pierwsze nazywają alejami (avenue), drugie drogami; każda z nich ma swoje imię lub najczęściej tylko swój numer. Wszystkie są ogromnej długości, bo idą od jednego końca miasta aż na drugi.

Po ukończeniu rewizyi czekałem razem z innymi podróżnymi z pewnej sali na okręt, który nas miał zabrać z Hoboken do Nowego Yorku. Przed nami stał jakiś Jegomość, trochę młodszy odemnie i rozmawiał z niektórymi ludźmi. Widziałem, był z Nowego Yorku i udzielał rady ludziom, którzy byli do niego poleceni. Ponieważ musieliśmy dosyć długo czekać, przystąpiłem sam do niego z zapytaniem, skoro nasz okręt nadejdzie. Odpowiedział na moje zapytanie i zagadnął mię, zkąd przybywam? — „Z Austrii,“ rzekłem — „Czy może Dr. Pindór?“ zapytał dalej. — Można sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy mię na amerykańskim brzegu obcy człowiek po imieniu zagadnął! — „Jestem!“ odpowiedziałem, „lecz któż Pan jesteś i jakże o mnie wiedzieć możesz?“ — „Nazywam się Lndwik v. Lanyi, pochodzę rodem z Austrii, jestem bratem seniora

Lany'ego w Czechach, byłem na gimnazyum w Cieszynie, mieszkałem w Alumneum, a teraz jesten od kilkunastu lat w Ameryce“ — Mnie znał bardzo dobrze z Cieszyna, a przez czeskie gazety kościelne, które i w Ameryce pobiera, dowiedział się, że mam jechać do Chicago. Rozumie się, obudwóch nas to spotkanie mocno ucieszyło; ja znalazłem doradcę naobcej ziemi, on zaś ustawicznie wywiadywał się o Austrii i Cieszynie. Pytał się osoby jemu znajome i o miejsca dla niego pamiętne. Jednem z pierwszych zapytań było, czy też jeszcze „budka“ u nas na kościelnym placu stoi, i czy żyje ona sędziwa przekupka, co mu dawała kredyt na masło i rogolki? Serdecznie mu było żal, żeśmy budkę uprzątne!i!

Następnego dnia oprowadzał mię po mieście i pokazywał ciekawości Nowego Yorku. Oglądaliśmy parki, sklepy, muzea i t. p. Najbardziej mię zajmowało widzieć jego kościół. Lanyi jest obecnie pastorem niemieckich Baptystów. Jest to sekta ewangelicka wielkiej gorliwości; biblia jest dla nich wszystkiem. Różnią się od innych ewangelików jedynie w nauce o chrzcie świętym. Baptysci utrzymują, że chrzest powinien być tem, czem był w pierwszych wiekach, mianowicie zapieczętowaniem wyznania wiary Chrystusowej prez ludzi dorosłych. Można się nie zgadzać z temi zapastrywaniami, jednakowóż przyznać należy, że co do gorliwości wiary i cnoty chrześciańskiej Baptysci bardzo wysoko stoją. Powaga ich podniosła się w szczególności przez dwóch mężów, należących do ich wyznania, mianowicie Dra Carey, który był ojcem nowoczesnych misyj wśród pogan i przez niedawno zmarłego H. Spurgeon'a (Spördzen'a), najznakomitszego ewangelickiego kaznodziei w wieku obecnym.

Na pewnem podwyższeniu zwanem „platform“, znajduje się w kościele miejsce dla choru i mownica dla kaznodziei. U Baptystów znajduje się w pobliżu mownicy ogromna miedziana wanna, zakryta kurtyną; w pobliżu jej jest żelazny piec dla ogrzewania wody. W pewne uroczyste dni występują nowi członkowie, którzy zostali przyjęci do liczby zboru, publicznie wyznawają grzechy i wiarę swą w Chrystusa, Zbawiciela swego, tudzież ślubują, że za pomocą Bożą według nauk Ewangelii sprawować się będą. Zatem wstąpiwszy do osobnej komorki składają z siebie ubranie, przywdziewają odpowiedni płaszcz i wstępują w wannę napełnioną wodą. Razem z nimi wstępuje pastor i wśród modlitwy całego zgromadzenia zanurza ich po trzykroć do wody, powtarzając słowa chrztu świętego. Obrządek odbywa się prawie tak, jak niegdyś Jan chrzczył ludzi w Jordanie. Baptysci stosują się dosłownie do wyroku Chrystusowego: „Kto uwierzy, a ochrzci się, zbawion będzie.“ Wymagają tedy najprzód wiary, a gdy jej uroczyste, publiczne wyznanie nastąpi, chrzczą wierzącego.

Uznania godną jest ich karność kościelna. Gdy który z członków albo w wierze słabnie lub jaki grzech popełni i publiczne zgorszenie sprawi, zasiadają starsi zboru w kościele i pozywają go przed siebie. Gdyby się wezwany nie stawił, zostaje z grona Baptystów wykluczonym. Stawiających się surowo upominają i do publicznego wyznania grzechu wzywają; jeźliby się mimo to nie poprawili, bywają uroczyście ze zboru wykluczeni. Według mojego doświadczenia, jak u nas bywa, zdawało mi się, że takie wykluczenie nie wielkie wrażenie na odpornych wywrze. Pastor Lanyi zapewniał z własnego doświadczenia, że się u nich tej

kary każdy członek, lęka, a wykluczony tak długo się upokarza, usiłuje i prosi, aż na nowo uzyska przyjęcie. Bez takiej karności dawnoby się sekta Baptystów szczególnie w wolnej Ameryce była rozsypała; wskutek takowej trzyma się współ i jest solą społeczeństwa. Rzeczywiście przekonałem się, że członków tego wyznania uważają powszechnie za ludzi zasługujących, na wiarę i zaufanie. Dla człowieka szukającego pracy i zajęcia najlepszem jest poleceniem, jeżeli może udowodnić, iż jest Baptystą lub Metodystą, bo między temi sektami surowa karność panuje i pewnieby nieporządnego człowieka w gronie swem niecierpieli. Tak i tu się sprawdza słowo Apostoła, że „pobożność do wszystkiego jest pożyteczna.“

Co do wyznania i wiary panuje w Ameryce najzupełniejsza swoboda — ale w gruncie rzeczy jednak jest przeciwnie. Dnia dzisiejszego przybywa do Ameryki mnóstwo ludzi z Europy szukających chleba. Między nimi są osoby porządne, ale także nie brakuje hołoty i hultajstwa, a w szczególności ludzi nie troszczących się o Pana Boga i sumienie, niedowiarków i t. p. Najbardziej się w tym względzie odznaczają wychodźcy z krajów niemieckich. Przybywszy do Ameryki jeżeli szukają zarobku, muszą się koniecznie do któregoś religijnego wyznania zapisać. Chlebobdawca amerykański pyta się tych, co szukają służby, o wyznanie religijne. Jeżeli powiedzą, że żadnego nie mają, tedy ich nie przyjmie do służby, bo powiada, że jeżeli religii nie mają, muszą być albo jakimiś nihilistami albo ludźmi do niczego, a takich u siebie potrzebować nie może. Tak sądzi praktyczny Amerykanin, a sąd ten pono wszędzie zgadza się z prawdą.

VII.

Na ulicach miast amerykańskich istnieje wszędzie wielki ruch, podobny jak w Londynie, lecz mię zastanowiło, że nie widziałem ani omnibusów ani dorózek, ba nawet konne koleje są rzadkością. Amerykanin się za praktyczniej-
szymi rzeczami ogląda. Osocliwością Nowego Yorku są ko-
leje żelazne zbudowane na wysokich słupach ponad głów-
nemi ulicami miasta, w wysokości jakich 8 albo 10 metrów
od ziemi. Spodem uwijają się ludzie, jadą wozy z towa-
rami, stoją kupcy i przekupki zapraszający przechodniów
do swych sklepów, a ponad głowami ich pędzą z łoskotem
pociągi kolei w jedną i drugą stronę. Każdy składa się
przynajmniej z 12 powozów ogromnej długości, jakie w
Ameryce budują, a wszystkie są zawsze szczelnie napeł-
nione. Cena jazdy jest tylko jedna, bez względu na to,
czy podróżny jedzie dwie lub trzy mile albo czy na jednej
z sąsiednich ulic wysiada.

W niedzielę dnia 7. maja wybrałem się przed po-
łudniem na nabożeństwo do kościoła pastora Dra Talmage
(Talmicz) w Brooklynie. Talmage należy dziś do największej
wpływowym kaznodziei ewangelickich w świecie, kazania
jego rozpowszechniają się przez gazety amerykańskie nie-
kiedy w milionach egzemplarzy i bywają czytane w Ameryce,
Anglii i Australii. Sposób jego mówienia jest praktyczny,
jaskrawy i porywający. Czytałem niektóre z jego pism a
szczególnie mi się podobał opis podróży jego do ziemi
świętej, którą odbył przed kilkoma laty. Czytałem niejedną
opis ziemi świętej, ale mię żaden tak nie zajmował jak jego

opis. Nadmienić muszę, że Talmage mówi i pisze tylko po angielsku. Po długiej pielgrzymce znalazłem jego kościół. Wyobrażałem sobie, że będzie wielki, może podobny do Cieszyńskiego; nie mało się rozczarowałem, widząc świątynię niewielkich rozmiarów. Było w niej miejsca co najwyżej dla tysiąca osób. Za to wewnątrz i zewnątrz z wielkim przepychem była ozdobiona. W ogóle wielkich kościołów nigdzie w Ameryce nie znalazłem, ale wszystkie jak najwygodniej urządzone; wszędzie jest gazowe lub elektryczne oświetlanie, tak że o każdej porze można odbywać nabożeństwa; wszystkie opalane, tak że wśród najcieplejszych mrozów siedzisz jak w ciepłym pokoju, krzesła i ławki obite aksamitem lub brunatnem suknem, słowem — wszelka wygoda!

Nad mownicą spostrzegłem w murze jakiś szczególniejszy kamień białego i czerwonego koloru. Chodziło mi po głowie, jak gdybym był gdzieś czytał o podobnym gładzie, aż w końcu przypomniałem sobie pewien ustęp z opisu podróży Talmag'a do ziemi świętej, w którym donosi, jako idąc na Golgotę przechodzili rozmaite rozpadliny ziemi i widzieli popękane skały, jakby pamiątki owej chwili, gdy Pan Jezus skonał na krzyżu a ziemia się trzęsła i skały się rozpadały. Tam ujrzał Talmage gład biały jak śnieg, z czerwonymi plamami, jakby go krwią pokropił; a ponieważ kolor biały oznacza czystość a plamy czerwone przypominają ofiarę ubłagalną, przeto zabrał ze sobą ten kamień do Ameryki jako pamiątkę z Golgoty i kazał go zamurować w murze swego kościoła, aby każdemu przychodniowi przypominał prawdę, „że krew Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.“ 1. Jan. 1. 7.

Prawie się miało zaczynać nabożeństwo, sługa kościelny spostrzegł mię, a widząc że jestem obcy, a poznawszy według mowy, że angielszczyzna nie jest moim macierzyńskim językiem, wskazał mi miejsce dobre do siedzenia tłumacząc z żalem, że Dra Talmage niema w domu, bo wyjechał do Filadelfii, miasta w Ameryce.

Po południu zwiedziłem most zbudowany nad cieśniną morską, łączący z sobą miasta Nowy York i Brooklyn. W starożytnym świecie podziwiano siedm utworów sztuki budowniczej, które cudami świata nazywano. Między nimi była także świątynia w Jeruzalemie i świątynia Dyany Efeńskiej. Dzieje A. 19. Na ziemi amerykańskiej spotyka podróżny co chwila budowy, któreby słusznie nazwać można cudami świata. Jedno z pierwszych miejsc między nimi zajmuje most Brooklyński, zbudowany na ogromnych żelaznych linach, grubych jak wysoka jodła u ziemi.

Między Nowym Yorkiem i Brooklynem jest cieśnina morska może na pół kilometra szeroka i bardzo głęboka, Największe okręty płyną bez przeszkody. Wskutek bajecznego wzrostu wymienionych miast trzeba było myśleć o sposobie połączenia ich z sobą, bo łodzie parowe nie wystarczały. Inżynierowie amerykańscy myśleli o zbudowaniu mostu, lecz sprawa nie była łatwą. Most musiał być bardzo długi, a jakże filary osadzić w głębokościach morza? Do tego trzeba było zbudować most tak wysoko, aby największe okręty bez przeszkody mogły pod nim przejeżdżać. W tym celu zbudowano na obu brzegach z wielkich granitowych kwadrów dwa ogromne filary tak wysokie, jak mur wieży ewangelickiego kościoła w Cieszynie potem przeciągnięto przez wierzchołki filarów liny żelazne, których końce otoczono

około ogromnych wyciosanych głazów i takowe głęboko do ziemi zakopano i zasypiano skałami w dosyć znacznej odległości od wymienionych filarów, aby wyjazd na wysokość mostu nie był przykry, lecz się tylko powoli podnosił. Na tych linach sfundowano most, który w całości liczy przeszło jeden kilometr długości. Po nim jeżdżą ustawicznie dwa pociągi kolei żelaznej, obok tychże są dwie drogi dla powozów przewożących ciężary, jedna dla wozów jadących w jednym a druga dla wozów w przeciwnym kierunku, tudzież dwa szerokie ganki dla pieszych. U wejścia mostu ustawicznie tak wygląda, jak gdy się kupa mrówek poruszy, ustawiczny panuje rój.

Gdym wstąpił na most, znalazłem na nim przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy ludzi: jedni przejeżdżali koleją, drudzy śpieszyli pieszo, a największa liczba posuwała się powoli rozpatrując się na wszystkie strony, bo dla Nowo-Yorczyków jest ten most ulubionem miejscem przechadzki, tak jak u nas w niedzielę popołudniu wychodzą mieszczanie do okolicznych lasków. I rzeczywiście trudno sobie piękniejsze miejsce przechadzki wyobrazić. Po równiutkiej drewnianej posadzce wyjdiesz powoli na szczyt mostu i staniesz wysoko nad domami miasta. Wszystkie są daleko niższe tak, iż masz widok nacałą rozległość Nowego Yorku, na wielką część Brooklynu i kilka innych przedmieść. Widzisz wzgórze wskazujące wieże kościołów, kominy fabryk, pociągi kolei, a gdy się nadół pod siebie popatrzysz ujrzysz tysiące okrętów, łodzi i łódek, które się wprost pod tobą na wszystkie strony uwijają. Trzeba się tylko nieco cieplej ubrać, bo od morza zawsze chłodny wiatr wionie, gotów zerwać ci z głowy kapelusz i zanieść go gdzieś daleko na miasto lub

morze! Dużo ciekawych miejsc zwiedziłem, ale tak czarującego widoku, jak z Brooklyńskiego mostu, dotąd nie widziałem.

Z tąś ndałem się do wnętrza miasta, aby sobie wyobrazić, jak Nowy York wygląda w niedzielę. Znalazłem dużo sklepów zamkniętych, ale też dużo otwartych. Angielski sposób święcenia niedzieli przeniósł się także do Ameryki, lecz nie jest tam jak ściśle przestrzegany jak w Anglii, czemu się nie można dziwować, zważywszy, że do Ameryki tyle ludzi przybywa z różnych krajów Europy, którzy się o święcenie niedzieli nie troszczą.

Idąc pewną ulicą trafiłem na niewielki plac, na którym się roiło jak w ulu. Dostałem się między — Chińczyków. Ledwie kilka kroków postąpiłem, gdy natychmiast wracałem i jak najśpieszniej uchodziłem, bo mię pewna trwoga przejęła. Pomiedzy temi ludźmi nie jest bezpiecznie ani w południe.

Chińczycy są najstarszym pomiedzy żyjącymi narodami ziemi, mieszkają w Azji i wyznawają wiarę pogańską. Kraj ich jest tak gęsto zaludniony jak żaden inni na ziemi. Należą do rasy Mongołów, są średniego wzrostu, cery żółtawej a odznaczają się wielką zręcznością i wytrwałością w pracy, przyczem w najskromniejszy sposób potrzeby swe opędzają. Do Ameryki przybywają dla zarobku, a uzbierawszy nieco grosza, wracają do domu. Przybywają tylko mężczyźni, a rzadko kobiety, chyba że która rodzina dłużej bawić zamierza. Widziałem wśród nich tysiące mężczyzn, ale ani jednej kobiety, a jeźli które są, żyją najczęściej nierządem. Religia Chińczyków wymaga, aby jej członkowie na rodzinnej ziemi spoczęli. Gdy tedy Chińczyk czuje się

bliskim śmierci, wraca jak najspieszniej do ojczyzny. Którzy się w Ameryce stale osiedlili, zajmują się najczęściej praniem bielizny lub są kucharzami.

Chińczyka nie rozeznasz jednego od drugiego, wszyscy są podobni jak jajko do jaja; na głowie noszą szeroki kapelusz, ciemnego koloru, pod którym mają warkocz zwinięty w kolce. Chińczycy splatają włosy w warkocze, zwyczajnie aż po ziemię długie, a najsrozsza jest dla nich kara, gdy któremu warkocz obetną. Taki się nie śmie więcej pojawić między swoimi, jest wyrzuconym od swego narodu i wyklętym z swej wiary. W Ameryce nie wolno im nosić spuszczonego warkocza, dla tego go kryją pod kapeluszem, chyba że go któremu za karę odcięto. Twarz mają szeroką, bez wszelkiego zarostu, oczy małe; chodzą w czarnych płaszczkach, czarnych spodniach i pantoflach ze sukna. Wyglądają tak do siebie podobni, że za nic w świecie nie byłem w stanie dwóch lub trzech od siebie odróżnić. W potrawach nie są wybredni, jedzą myszy, szczury, koty, ryż i t. p. Dla Ameryki są ogromną plagą; z Amerykanami żadnej wspólności nie mają, odzienie nawet i pokarm pobierają z ojczyzny przez osobnych dostawców, tak że Amerykaninowi ani centa zarobić nie dadzą. Natomiast popełniają wszelkiego rodzaju zbrodnie, aby się wzbogacić. W zachodnich stronach mają być więzienia zapchane Chińczykami. Pracują za tak niskie ceny, na jakich inny robotnik wyżyć nie patrafi, przez co dla krajowego robotnika bardzo niebezpieczną konkurencją stanowią. Wskutek tych rzeczy zabroniono Chińczykom przystępu do kraju, lecz mimo to jest ich dosyć w Ameryce, a nie wiedzą jak się ich pozbyć. Zamierzają ich pozbierać i kosztem rządu przewieźć do

Azyi, lecz czy ten środek do celu doprowadzi? W każdym razie podnieś w Chinach nienawiść do Europejczyków i mieszkających tam misjonarzy chrześcijańskich na wielkie narazi niebezpieczeństwa.

Dnia 8. maja opuściłem Nowy York i wyjechałem do Chicago. Duchowni wszystkich wyznań mają w Ameryce ten przywilej, że na kolejach tylko połowę zwyczajniej ceny płać, z czego i ja, przedłożywszy swoją legitymację, byłem w stanie skorzystać. W oznaczonym czasie stanąłem na dworcu kolei Pennsylvanian Railroad i po pierwszy raz w życiu widziałem amerykański dworzec. Takowe różnią się znacznie od europejskich. Najpiękniejszymi utworami sztuki budowniczej były niegdyś w naszych krajach kościoły; dziś już tak wspaniałych nie budują, za to daleko większy przepych udowadniają przy budowach teatrów, muzeów i dworców kolejowych. Jedna kolej ugania się przed drugą, aby jak najwspanialsze budować dworce. W Ameryce znalazłem inaczej; tak wspaniałych dworców jak w Europie ani w Nowym Yorku ani w Chicago nie widziałem. Wszystkie były zbudowane i urządzone praktycznie, ale bez zbytecznego przepychu. U nas na każdym dworcu są trzy ciekawe pokoje, jeden pierwszej klasy dla wielkich panów, jeden drugiej klasy dla mniejszych panów, a jeden trzeciej klasy dla pospolitego ludu, a wara, gdyby się jaki prosty chłopiek zabłąkał do innej klasy jak trzeciej. Będą nań sarkać i szydzić z niego, jak z człowieka stojącego niżej od tak zwanych panów, choć może umysłowo i moralnie da-

leko wyżej stoi. Takie są jeszcze u nas przesady, a Bóg wie, czy i kiedy się zatrą. W Ameryce tych rzeczy nie znalazłem, równość w społeczeństwie jest zgola do ostateczności przeprowadzoną. Że bogaty ma większy wpływ niż ubogi, człowiek słynący z imienia i charakteru większą powagę niż człowiek bez znaczenia, to z natury rzeczy wynika; ale żeby n. p. rolnika dla tego mniej poważano niż urzędnika, ponieważ pierwszy pracuje rękoma a drugi głową i piórem, albo żeby rzemieślnika niżej stawiano niż profesora, lekarza lub pastora — tego nigdzie nie znalazłem. Co do stanu nie ma różnicy, tylko co do osoby; jednego oceniają wyżej niż drugiego, o ile sam osobiście na to zasłużył. Baronów, hrabiów i szlachty w ogóle amerykańskiej nie ma, a jeżeli jaki szlachcic europejski przybędzie do kraju, wolno mu używać szlacheckich tytułów, ale przywilejów przez to żadnych nie uzyska. Jest różnica tylko między bagatszymi i uboższymi, bo ci pierwsi doszedłszy do bogactwa lubią się jak wszędzie wynosić nad innych.

Ta równość obywatelska uwydatnia się na zewnątrz już przez to, że na dworach mają czekalnię tylko jednej klasy, a na kolejach powozy także tylko jednej klasy. Czekalnia w Nowym Yorku nie była wykwinicie ale bardzo praktycznie i dogodnie urządzona. Kto kupi bilet, otrzymuje oraz kartę z rozkładem jazdy, aby się dokładnie mógł zastosować do czasu. Pięć minut przed odjazdem woła odźwierny do pociągu i podróżni zajmują miejsce w wagonach gdzie się komu podoba. W danej chwili odzywa się dzwon, nie tak jak u nas, co sercem dzwonu biją o brzég, lecz dzwonią tak jak w wieży, wprawiwszy dzwon w ruch za pomocą sznuru, prawie jakby w jakiej kaplicy dzwonili. Usły-

szawszy w powozie dźwięk, oglądałem się, gdzie dzwon wisi, lecz go nigdzie nie widziałem. Pociąg ruszył z miejsca, jechaliśmy może już jakich dziesięć minut w pole, a dzwon ciągle dzwoni i dzwoni, a głos zawsze dochodzi tak dźwięcznie, jak gdybyśmy się jeszcze na tem samem miejscu znajdowali. Nie umiałem sobie tej zagadki wytłumaczyć, aż naraz nadszedł z przeciwnej strony pociąg, wjeżdżający do Nowego Yorku, i także dzwonił. Na maszynie jego spostrzegłem dzwon, którym kierownik maszyny dzwonił. Teraz mi się zagadka wyjaśniła. Amerykańskie lokomotywy są do naszych podobne, różnią się jednak tem, że na każdej wisi dosyć duży dzwon, którym dzwonią, gdy pociąg wjeżdża ze stacyi lub wjeżdża do takowej lub też gdy przez jaką drogę albo most przechodzi. Amerykańskie lokomotywy nie dają znaków gwizdaniem, lecz dzwonieniem. Na wielkich dworcach jak n. p. w Chicago zgoła ustawicznie słyszysz dźwięk dzwonów, zbliżających lub oddalających się według tego, czy pociągi nadchodzą lub odjeżdżają.

Urządzenie wagonów amerykańskich różni się od naszych. Są to jadące salony, w których można się do woli przechadzać z jednego do drugiego. W każdym pociągu można swobodnie przechodzić począwszy od lokomotywy aż do ostatniego powozu. W pociągach są salony z restauracją, w których są kuchnie i spiżarnie, tak że jakiej chcesz potrawy dostaniesz, rozumie się za grube pieniądze; znajdują się sypialnie z dogodnymi łózkami, za które się osobno opłaca. Wagony są wszystkie jednej klasy, siedzenia skórą lub czerwonym aksamitem obite. Wagony są długie, a w każdym koło 50 miejsc do siedzenia; pośrodkiem idzie ganek do przechadzania się. Od powały wiszą lampy, oświe-

tlenie naftowe bardzo jest dogodne. W każdym wagonie jest miedziane naczynie z wodą do picia, do której co godziny dodawają lodu; oprócz tego jest w każdym wagonie osobne miejsce dla robienia toalety. Tam znajduje się miedziana miednica, nad nią kociołek z wodą, obok mydło, ręczniki, szczotki do czyszczenia ubioru, a na ścianie wisi duże zwierciadło. W powozie można się umyć i ubrać. Z drugiej strony każdego wozu są odchodki. Palić w wagonie nie wolno; dla palących są osobne miejsca, gdzie podróżni palą cygara. Słowem, jest na kolei wszelka wygoda, tylko że według europejskich stosunków są ceny jazdy trochę za wysokie.

Siedząc w powozie patrzyłem z upodobaniem na amerykańskie okolice i oglądałem przez okno glebę, która mi się daleko wydawała żyzniejszą niż nasza. Spostrzeżenia swoje, dotyczące się pracy i życia rolnika w Ameryce, skreśliłem na innem miejscu, mianowicie w Ewangelickim kalendarzu roku 1894 i nie myślę ich na tem miejscu powtarzać.

Pociąg pośpieszny, wiozący gości na wystawę do Chicago, pędził lotem błyskawicy. Koło oka naszego przesunęły się pola, łąki, lasy, wsie, miasteczka i miasta. Jechaliśmy płaszczyznami, na kilku miejscach przekroczyliśmy szerokie strumienie śpieszące do morza, pod wieczór dostaliśmy się na wierzchołki gór Alleghany, nocą spuściliśmy się znowu na płaszczyzny i pędzili bez ustanku w strony zachodnie. Ja zdrzemnąłem się i usnąłem na krześle, śpiąc aż do 3 godziny z rana. Od wschodu pierwsze brzaski poranne się pokazywały, zaczynało świtać. Wstawszy poszedłem do umywalni, umyłem, oczyściłem się, gdy

koło mnie jeszcze wszyscy we śnie chrapali. Powoli weszło słońce, dzień był pogodny. Okolice była bardzo jednostajna, jak daleko oko sięga, wszędzie płaszczyzna równa jak na stole, tu i ówdzie kawałek nawpół zniszczonego lasu, to znowu kawał zoranej ziemi, tu i ówdzie pojedyncza chatka — wszędzie jeszcze brak pracy i życia!

Okolo jedenastej godziny przedpołudniem zaczęliśmy się zbliżać do Chicago. Z wyteżoną uwagą patrzaliśmy, skoro się pojawia jakie ślady wielkiego miasta, wieże fabryki i. t. p., lecz nic jeszcze nie było widać, tylko liczba osad była coraz większą. W końcu zwołniał pociąg, byliśmy na przedmieściach Chicago. Ale co to za przedmieścia! Woda stała na ziemi jak w jakich bagniskach a z niej wystawały małe drewniane chatki, zbudowane na słupach. Znowu jeszcze jechaliśmy przeszło pół godziny, raz polami, to znowu pomiędzy domami, aż w końcu pociąg zaczął dzwonić, wjeżdżając do stacyi. Stanęliśmy; podróżni wysiedli z powozów, zabierając swoje rzeczy; pomiędzy ostatnimi wysiadłem i ja, oglądając się na wszystkie strony, czy kto nie trzyma w ręku zielonej, przeziemnie nadesłanej kartki, która miała być środkiem poznania między mną i osobą, co wyjdzie naprzeciw mnie na dworzec, aby mię zaprowadzić na miejsce przeznaczenia, do zakładu Pana Moody (Mudi). W rzeczy samej spostrzegłem u wejścia młodego człowieka z wymienioną oznaką na piersiach. Poszedłem z nim do teologicznej szkoły w Chicago, gdzie mię Pan Moody i profesor Torrey bardzo uprzejmie przyjęli. Zasiadłem z nim do stołu, bo prawie podawano obiad, i rozmawialiśmy z sobą, choć dla mnie rozmowa była nieco trudną, bo moje ucho nie

było przyzwyczajone do amerykańskiego akcentu. Inaczej mówią po angielsku w Anglii a inaczej w Ameryce. Potem zaprowadził mię profesor Torrey do pokoju przygotowanego dla mnie i pożegnał na chwilę, życząc abym pod ich strzechą i razem z nimi czuł się szczęśliwym i zadowolonym. Tak rozpoczął się dla mnie okres pracy i doświadczeń, które do najwięcej zajmujących w życiu swem zaliczam.

IX.

Chicago! Imię to wywiera cudowny wpływ na umysł każdego Amerykanina. Gdy je usłyszysz, iskrzą mu się oczy, podnosi się pierś, serce się dumą popęnia, jakby chciał powiedzieć, że na całym świecie jedno jest Chicago a to jedno jest w Ameryce! Cokolwiek ludzką intelligencją, pracą, pilnością i energią wytworzyć można, to wszystko obejmuje Amerykanin jednym wyrazem — Chicago.

Chicago jest dziś co do wielkości drugim miastem w Ameryce; przewyższa je tylko Nowy York. Lecz nie długo potrwa, a Nowy York także będzie musiał oddać palmę pierwszeństwa bujnie się wznoszącemu Chicago, do czego się nie mało wystawa minionego roku przyczyniła. Inne miasta amerykańskie długie lata nie chciały się dać prześcignąć nowej osadzie, aż się w końcu poddały i z losem swym pogodziły. Nowy York ani nie pomyślał żeby mu kiedyś pierwszeństwo odebrać miano, lecz dziś już widzą grożące niebezpieczeństwo. Nim kilka lat upłynie, będzie Chicago pierwszym miastem na ziemi amerykańskiej. Już dziś liczy przeszło półtora miliona mieszkańców, ma największą na świecie kolejową sieć, bo 36 linii kolejowych

wychodzi z miasta na wszystkie strony, ma ogromnie rozwinięty ruch okrętowy no jeziorze Michigan i kanałach, prowadzących w głąb kraju; ma największy handel zboża, drzewa, bydła, nierogacizny, ma najwspanialsze fabryki i t. d. Wygląda tam jak w ulu na wiosnę, gdy pszczoły najbardziej zajęte są pracą. Jedna odlatuje a druga wraca, niosąc do ulu zebraną zdobycz. Takiego ruchu towarowego jak w Chicago nigdzie nie znajdziesz, ani w Nowym Yorku ani w Londynie. Z każdym dniem otwierają się nowe przedsiębiorstwa, zakładają nowe fabryki, a napływ ludności robotniczej z Europy, w szczególności z Austrii jest ogromny. Do dziś dnia wszyscy znajdują pracę, lecz czy się to kiedyś jednak nie przerwie, któż może przepowiedzieć?

Położenie miasta w ściślejszem znaczeniu jest tak niekorzystne, jak tylko być może. Chicago jest zbudowane na bagnie. Cała okolica stanowi ogromną płaszczyznę; na sta i tysiące mil, szczególnie w stronę północy najmniejszego pagórka nie ujrzysz. Na południowo-zachodnim brzegu jeziora Michigan leży miasto. Brzeg jest tak niski, iż wody jeziora za lada powiewem wiatru leją się na ląd, a nie mając spadu zostają na miejscu, przez co powstają bagniska, a z nich rozmaite wychodzą wyziewy. Do tego dolączają się wody, które powstają z deszczów a w szczególności z topniejących śniegów. To też okolica od dawnych czasów nie była zamieszkaną, tylko niekiedy Indyanie odbywali polowanie na zwierza i na wodne ptastwo. Powiadają, że tam przez pomyłkę powstała osada. Z początkiem tego wieku postanowił rząd zbudować niewielką fortecę i dać do niej szczupłą załogę wojska dla ochrony pojedynczych bia-

łych osadników, którzy się w okolicy osiedlili; aby ich bronić od napadów dzikich. Na ten cel wyznaczył rząd pewne miejsce nad jeziorem, lecz załoga jakoś przez pomyłkę nie trafiła do celu i osiedliła się, gdzie dziś Chicago stoi, nad ujściem rzeki Chicago do jeziora Michigan.

Nazwa Chicago pochodzi z języka tamtejszej indyjskiej ludności. Jedni powiadają że oznacza „cebulę“, inni że ma znaczenie wyrazu: „wielki i mężny“. Według podań wpadł pewien waleczny wojownik Indanów w wodę u ujścia rzeki do jeziora i utopił się. Imię jego było „Chicago“, wskutek czego dzicy rzekę i osadę białych nazwali Chicago, a nazwa została aż po dziś dzień.

Jakkolwiek miała się rzecz co do imienia, to pewna, że osada zacząwszy rosnać z bajeczną szybkością się rozwijała. Roku 1801 było tylko bagno; 1811 powstała niewielka forteca, na którą r. 1812 wielkim gwałtem napadli Indyanie, i całą załogę w pień wycięli. Liczba zabitych żołnierzy razem z żonami i dziećmi wynosiła przeszło 150 osób. Znany w całym świecie bogacz i fabrykant wagonów Pullman zamierza na tem samym miejscu postawić pomnik dla uczczenia pamiątki ofiar onej rzezi. Roku 1821 znowu tam fortecę zbudowano; 1831 powstała wioska licząca 12 drewnianych chatek, zbudowanych na słupach; 1841 wynosiła liczba osadników 5.750 dusz, a wioska otrzymała prawo nazywać się miastem. W dziesięć lat później kwitnął już handel i przemysł, a liczba mieszkańców doszła do 35.000 dusz; od tego czasu rosło miasto i dobrobyt jego z bajeczną szybkością, a ziemia na około, która przedtem prawie żadnej wartości nie miała, do niesłychanych cen się podnosiła!

Gdy się tak działo w Chicago, dla czegożby i gdzie indziej podobnie być nie mogło? Tak myśleli przedsiębiorcy amerykańscy i postanowili równie na innych miejscach zachodnich krain miasta budować. Do przedsiębiorców przyłączyli się oszuści. Kolei jeszcze było bardzo mało, dla tego nie łatwo było przekonać się o prawdzie. Niesłychany „szwindel gründerów“ się rozwinął i niepoliczony miliony amerykańskich dolarów pochłonał. Prowadzono interesy w ten sposób. Zawiązała się szajka oszustów, utworzili towarzystwo dla zbudowania miasta tego a tego, tam gdzieś daleko w pewnej okolicy. Najprzód założyli własną gazetę, pozyskali zdolnych redaktorów, którzy dźwięcznymi słowami wzrost, bogactwo i znaczenie założonego miasta opisywali. Najtrudniejszą rzeczą było uzyskać podpisy kilku wiarogodnych osób, których imię miało posłużyć za wędkę dla zwabienia publiczności, bo jeżeli ten lub ów adwokat, inżynier, ksiądz albo jeszcze lepiej bankier sprawę poświadcza i nią się interesują, to chyba musi być prawdziwą! Gdy te osoby wzbraniały się położyć swe imię na odezwie to zwyczajnie bankowy papier pomagał. Nie podpisali za tysiąc dolarów, podpisali może za 20 tysięcy lub za sto tysięcy; do tego mieli pewien procent z czystego zysku. Skoro były podpisy wiarogodnych osób, to i publiczność omamiona rozwojem miasta Chicago uwierzyła. Dla czegożby i dalej na zachodzie podobne miasta nie powstawały? Założono banki, wydawano akcje, których właścicielom ogromne zyski obiecano! Tak w tych nowych miastach wyrastały domy na 2, 3 i 6 pięter wysokie, powstawały ulice a każda miała swą nazwę; wznosiły się kościoły, fabryki, kawiarnie; piękne strumienie przerzynały miasto i użyzniały okolice, przyczyniając się

oraz do rozwoju żeglugi i handlu — wszystko na papierze! Ludzie kupowali akcye, pieniądze wpływały tysiącami do banków; bogaci kupcy zakupowali budynki, byli łatwowierni, co cały swój majątek obrócili na zakupienie kilku kamienic takich nowych miast, bo agenci i gazety zapewniały, że napływ ludności jest bardzo wielki, a właściciele domów najlepsze interesa robią, wydzierżawiając mieszkania nowo przybywającym. Jednem słowem, istniał cały ludność ogarnął. W końcu zaczęli właściciele domów tych nowych miast udawać się na miejsce, a cóż znaleźli? — Pustynią! Nie było ani rzek, ani łąk, ani miast, ani domów, chyba jedna lub dwie drewniane chatki, w których ubodzy osadnicy mieszkali! Nastąpiło rozczarowanie. Lecz dyrektorowie banków dawno wyludzone miliony zabrali i pouciekali! Gdzież ich szukać w rozległej, nawpół dzikiej Ameryce? Ten szal „gründerstwa“ opanował umysły najbardziej około roku 1860. Naukę przeczności niektórzy ludzie bardzo drogo opłacili.

Gdy tak wszystkie urojone miasta zniknęły z widowni, Chicago stało i rosło. Roku 1870 wynosiła liczba mieszkańców blisko pół miliona, a sława miasta i bogactwa jego w całym świecie stały się głośne, aż je niespodzianie straszna klęska nawiedziła.

Było to roku 1871, w niedzielę dnia 8 października. Od kilku dni silny wionął wiatr od południa a w jednym miejscu wybuchały pożary, które jednak chica-go'ska straż ogniowa, doskonale zorganizowana, szczęśliwie pokonała. W wymienioną niedzielę pod wieczór poszła pewna gospodyni, imieniem O'Leary, do stajni doić krowę i wzięła z sobą zwyczajną lampę naftową, jakich się do-

tańd używa. W kalendarzu tego roku opisałem, jak amerykańskie stajnie wyglądają. Pod samą strzechą jest stajnia na krowy, na konie i miejsce na siano i inną strawę dla bydła. Gospodyni postawiła lampę na podłodze i wzięwszy krzesło usiadła pod krowę. Czy krowa była odporna lub czy się gospodyni trochę niezgrabnie do pracy zabierała, krótko, zniecierpliwiona krowa wycięła ostro nogą w tył i uderzyła lampę, która się obaliła; nafta się wylała i w okamgnieniu stanęła stajnia w płomieniach. Było to na przedmieściu miasta od strony południa.

Chicago obejmuje dziś przestrzeń niewiele mniejszą; niż nasze księstwo Cieszyńskie, rozciąga się wzdłuż brzegu jeziora Michigan w długości coś przeszło 6 naszych mil w ten czas może rozciągało się jakie 3 mile. Szerokość jego jednak była mniejszą niż dziś. Na południowym końcu miasta zaczęło się palić gospodarstwo, lecz nikt nie pomyślał, do jakich rozmiarów mogłby dojść pożar. Widziano łunę z daleka, oddziały straży ogniowej śpieszyły na miejsce, choć wszystkie środka miasta opuścić nie mogły. Szalony wichur, wionąc od południa, rozdmuchiwał ogień, który coraz większe zalewał przestrzenie. O 9 godzinie wieczór paliła się południowa strona miasta; o 12 godzinie doszły płomienie aż do środka, ogarniając nie jeden pałac z drugim, ale po 10 do 20 naraz. Mieszkańcy nie mogli wyratować nic, bo co z jednego domu wynieśli, to im w drodze zgorzało, ponieważ pożar z ogromną szybkością i siłą się szerzył. Kto mógł, z gołem tylko życiem uchodził. Domy handlowe, biura, dworce, pociągi na nich stojące, magazyny, składy drzewa i zboża, nawet okręty na rzece — wszystko w przeciągu 24 godzin

leżało w popiele i gruzach. Coś przeszło 18.000 budynków się spaliło, a szkodę zrządzoną obliczano na pięć set milionów złr. w. a.

Byli bogaci kupcy, co dnia 8. października obliczali majątność swą na miliony, a dnia 9. października nie mieli dosłownie ani szeląga; nie więcej jak ubiór na sobie. Spaliło się całe miasto z wyjątkiem północnych przedmieść, które wskutek ustania wichru i parków dzielących ich od miasta ocalały. Tam schroniła się ludność w pierwszej chwili, nie wiedząc, co począć. Kto mógł, wyprawił rodzinę do okolicy, do innych miast, do krewnych i znajomych. Nikt nie miał pieniędzy ani na kolej, dla tego towarzystwa kolejowe otworzyły bezpłatną jazdę dla pogrzelców i rzeczy, które dla nich przesyłano. W pierwszej chwili ogarnęła rozpacz umysły mieszkańców; widząc mienie swoje leżące w gruzach postanowili opuścić to miejsce a gdzie indziej szukać pracy i chleba. Tak się zdawało, że trzydziestoletnia chwała tego miasta w gruzach pogrzebaną zostanie, a jednak stało się inaczej. Dziś Chicago powstawszy z popielów, nie tylko w daleko większej wspaniałości niż przedtem istnieje, lecz nawet — a to coś znaczy — z najwspanialszem miastem Ameryki, z Nowym Yorkiem współzawodniczy o palmę pierwszeństwa! Jakże do tego doszło?

X.

Wiadomość o straszliwej klęsce miasta Chicago rozeszła się po świecie lotem błyskawicy i nadzwyczajną obudziła ofiarność. Miasta Ameryki, Europy i Australii śpieszyły

z pomocą dla pogorzalców, jak mogły. Już na przyszły dzień przychodziły pociągi ze wszystkich stron, wioząc żywność i odzienie, trochę później wpływały dary w pieniądzech, towarzystwa bankowe udzielały bezprocentowe pożyczki w wysokości milionów dolarów, a wszystkie te dowody życzliwości tak jakoś pokrzepiły na duchu nieszczęśliwych i nową napełniły otuchą, że postanowiono odbudować miasto, a to w daleko większej wspaniałości, niż było przedtem.

Dziś Chicago nie jest jeszcze w budowie swej ukonczonem, na przedmieściach prawie wszystkie domy są z drzewa; wewnątrz miasta ujrzysz nieraz obok wspaniałego pałacu małą drewnianą lepiankę, a przy niej kawałek ziemi zarosłej trawą lub zasadzonej ziemniakami; trotoary są zrobione z desek, a ulice brukowane drzewem; tylko w samym środku miasta nieopisany przepych panuje. Ulice są szerokie i piękne, posadzka z kamienia, trotoary przestronne, ogromnymi głazami wykładane. Tu znajdują się owe w całym świecie głośne chicago'skie niebotyczne pałace, niektóre wysokie na 12 piątr, inne na 15, inne na 18, inne na 20, a Świątynia masonów wysoka nawet na 21 piętro. Dla czytelnika wydaje się to rzeczą bajeczną, ale jednak tak jest. O tych rzeczach nie można powziąć wyobrażenia, nie widziawszy ich. Tu się objawia genialny pomysł amerykańskich budowniczych, którzy się żadnych trudności nie zleką!

Pytam się, jak takie domy można budować? Z drzewa lub z cegły nie da się to zrobić; do budowy większych domów używają Amerykanie żelaza, a do wymienionych pałaców używano osobno przyprawionej stali najlepszego gatunku. Cieleśna postać człowieka składa się z kości i ciała; ciało bez kości nie miałoby oparcia, kość bez ciała

nie byłby człowiekiem. Tak pomyśleli amerykańscy budowniczy i postanowili według tej zasady budować domy. Zbudowali najprzód z ogromnych stalowych szyn szkielet domu, a potem go przyoblekli cegłą, wapnem i innemi rzeczami niby ciałem. U nas mur trzyma całą budowę tam jest mur tylko ozdobą i ochroną od powietrza, budowę zaś trzyma i wznosi wewnątrz zamurowane żelazo. Tem się tłumaczy tajemnica, że tak wysokie domy nie runą.

Domy takiej wysokości przedstawiają ogromny ciężar. Aby utrzymać takowy, trzeba koniecznie kamienistego gruntu, bo inazey mógłby się budynek zniżyć lub nachylić. Lecz w Chicago niema w ziemi skały, owszem są warunki tak niekorzystne, jak tylko być mogą. Powierzchnią stanowi bagno, a spodem jest glina, podobna do „celiny“. Dla wzmocnienia fundamentu zaczęto z początku bić w ziemię dębowe słupy, lecz gdy się na nich wzniosła budowa, wkleśnięły słupy pod jej ciężarem głębiej do ziemi i dom się poniżył. Wejście przez bramę stało się trudnem. Zaczęto więc o innych rozmyślać sposobach. Budowniczy kazali wydobyć głęboko ziemię z tych miejsc, gdzie stanać miał dom, a doszedłszy do lepszego gruntu utworzyli na nim z szyn żelaznych i cementu grubą i silną masę, nie dającą się ni nagiać, ni złamać, a na tej podłodze postawili dom, licząc na to, że pod ciężarem budowy glina stwardnieje. Ten sposób okazał się praktycznym. Dom się zniżył o meter lub dwa, na co przy budowie liczono, lecz sąsiedni dom lub który inny w pobliżu o tyle się podniósł z ziemi, bo celina na jednym miejscu ściśnięta na innem się wyciskała z ziemi.

Jakże mogą ludzie tak wysoko chodzić w zgórę i na dół po schodach? Rzeczywiście trzeba by silnych nóg i zdro-

wych płuc, gdyby kto miał kilka razy dziennie wychodzić do 15. lub 20. piętra; lecz tam nikt po schodach nie chodzi. Schody służą jedynie dla ozdoby lub dla ocalenia w czasie pożaru. W każdym takim domu są windy ustawicznie idące w górę i na dół; w pięknej izdebce stoi kierownik, kierujący windą. Gdy się spuści na dół, odsuwa żelazne drzwi izdebki i przyjmuje przybywających. Każdy oznacza numer pokoju, do którego się chce dostać, a kierownik wie, na którym piętrze się zatrzymać. Tam otwiera drzwi i wypuszcza gości; innych znowu na pojedynczych piętrach przyjmuje i dowoli w górę lub na dół zabiera. W tych ogromnych pałacach jedna lub dwie windy nie wystarczą, jest ich więcej, pięć, dziesięć, w pewnym domu nawet szesnaście, jedna obok drugiej. Na ścianie znajdują się maszyny podobne do zegara, których wskazówki wskazują, gdzie się która winda znajduje; tu można widzieć, czy idzie w górę, czy na dół, i która najprędzej będzie na miejscu, aby z niej do woli można korzystać. W tych domach nikt po schodach nie idzie, a choćby tylko z 16. piętra na 15. się chciał dostać, przejeżdża za pomocą windy.

Czy znajdą się osoby, coby na 18. piętrze chciały mieszkać? Wspomniałem na innem miejscu, mówiąc o mieszkaniu Anglików, jak tam każda rodzina w osobnym domu mieszka; zamożne rodziny mają pałacyki, wyrobnicy zaś tylko chatki; lecz każda rodzina żyje w osobnym domku. Ten sam rodzaj mieszkania jest przyjęty wszędzie w Ameryce, z wyjątkiem Nowego Yorku, gdzie ograniczona przestrzeń zmusza do wyzyskania każdego kawałka ziemi. W Chicago mieszka każda rodzina osobno; w onych wielkich domach zaś stale nie mieszka nikt, są tam tylko same kan-

celarye, banki, teatry, hotele i t. p. W nocy tylko stróże zostają na miejscu. Budowa takiego pałacu kosztuje nie mało; zachodzi pytanie, czy włożony kapitał przyniesie procent? Mówią, że nawet bardzo znaczny, bo każdy, choćby najmniejszy kątek za grube pieniądze wydzierżawiają. Jeżeli bowiem rozmaite bióra pod jedną strechą się znajdują, łatwo mogą znaszać się z sobą, nie tracąc czasu na drogę lub na piśmienną korespondencyą. Przez to zaoszczędza na czasie, na liczbie ludzi, na pieniądzach! — We wszystkich domach tego rodzaju jest zaprowadzone oświetlenie elektryczne, ogrzewanie pokoiów parowe, a wodociągi prowadzą aż do najwyższych piątr domu. W tym celu znajduje się na poddaszu każdego domu ogromna miedziana wanna, do której wciskają wodę za pomocą machin a ztąd ją sprowadzają rurkami do pojedynczych pokoiów.

A zkadże wodę czerpią? Z tego, co o położeniu miasta wspominałem, można sobie wytłumaczyć, że w Chicago niema ani studni ani źródeł. Gdy pierwsza osada powstała, używano wody z rzeki Chicago, lecz z innej strony do tej samej rzeki puszczano gnojówkę i rzucano śmieci. Było to tak, jak się wszędzie koło większych rzek dzieje. Wszak w niejednem miejscu piją ludzie wodę z Olzy, choć się do niej nie mało nieczystości dostaje. Tak mogło być, póki Cicago było niewielką osadą lecz z czasem się sprawa stała niemożliwą, boby ludzie czystą gnojówkę musieli pić. Lecz zkadże wodę do miasta sprowadzić? Z górzystych okolic nie było można, bo ich tam nie ma; nie pozostało tedy nic innego, jak używać wody jeziora Michigan, która się rzeczywiście dobrą i dla zdrowia wcale korzystną okazała. W tym celu wykopano w pewnej od-

ległości od jeziora w ziemi jamę na rodzaj studni wymurowano ją cementem i zrobiono tunel, prowadzący do wnętrza jeziora o jakie ćwierć mili od brzegu. Potem zrobiono ogromny cylinder z dębowych belek, który jednym końcem wprawiono we dno jeziora i tak utwierdzono, aby go wały wadne nie ruszały. Następnie wy-czerpano wodę z wnętrza jego i połączono z wymienionym tunelem, tak że się czysta woda jeziora dostała do wnętrza miasta. Z tąd ją maszynami prowadzono na wszystkie strony do domów. Woda ma trochę miękki smak, lecz jest wcale dobra do picia, szczególnie gdy do niej, co się w Ameryce wszędzie dzieje, kawałek lodu dołożą. Dawniej jeden taki kanał wystarczał dla zaopatrzenia miasta, dziś już trzy istnieją, a wkrótce może będą musieli czwarty budować. W ten sposób otrzymało miasto nie wielkim kosztem dobre wodociągi. Lecz jedna jeszcze trudność zachodziła, mianowicie ta, że ludzie pili wodę z jeziora, do którego wszystkie kloaki miasta rzeką Chicago odpływały. Prawda, nie brano wody w pobliżu ujścia rzeki, ani w pobliżu brzegu, bo otwory kanałów posunięto dalej w głąb jeziora; lecz zawsze mogła się woda zanieczyścić, co w czasie epidemii groziło niebezpieczeństwem. Jakże tej nieprzyjemności zaradzić? Tu inżynierowie chicagowie wpadli na pomysł jedyny w swoim rodzaju, pomysł, który dotąd w całym świecie nigdzie i nigdy nie był praktykowany, mianowicie postanowili obrócić rzekę napowrót, aby nie płynęła od źródła do ujścia, lecz przeciwnie od ujścia napowrót do źródła, równie jak gdyby Olzę obrócono, żeby nie płynęła od Jabłonkowa do Cieszyna, lecz od Cieszyna do Jabłonkowa!

Pomysł tego rodzaju wydaje się szalonym, ale go

Amerykanie szczęśliwie do skutku doprowadzili. Wzięli się do dzieła, rozszerzyli łożysko rzeki Chicago, wyprostowali i znacznie zgłębili. Dwie okoliczności w tym względzie sprzyjały, najprzód był wśród rozległych płaszczyzn amerykańskich spadek wody od źródła do ujścia prawie nieznaczny, a po wtóre był grunt ziemi stosunkowo dosyć miękki, co robotę znacznie ułatwiło. O kilkadziesiąt mil na zachód od Chicago płynie jedna z największych rzek amerykańskich, Mississippi, wpadająca do Zatoki Meksykańskiej. Płynie w kierunku od północy ku południowi. Do Mississippi wpada rzeka Illinois, której źródło nie jest bardzo odległe od źródła rzeki Chicago. Amerykanie połączyli obie wymienione rzeki kanałem, a to w ten sposób, że wody kanału płyną do rzeki Mississippi. Woda jeziora leje się do rzeki Chicago, ztąd idzie do kanału, z kanału do rzeki Illinois, z Illinois do Mississippi a dalej do morza! Śmiecie i kloaki miasta płynące do rzeki nie idą już więcej do jeziora, lecz je woda jeziora unosi do kanału a ztąd dalej aż do Zatoki Meksykańskiej! Takim sposobem uzyskało Chicago zdrową wodę do picia i tanie oczyszczenie i kanalizację miasta.

XI.

Pierwsza rzecz, którą mi w Chicago zastanowiła, były koleje na ulicach miasta. Wspomniałem, że w Nowym Yorku nie widać omnibusów ani doróżek; w Chicago takowych wcale nie widziałem. Jeżeli w ogóle są, tedy ich gdzieś osobno szukać trzeba. Chicago'skie koleje różnią się od konnych, od elektrycznych, parowych i wszystkich tego rodzaju środków komunikacyjnych. Przodem idzie wóz

z jakimś mechanicznym przyrządem, podobnym do niewielkiej lokomotywy, tylko że w niej ani ognia ani pary nie ma, a z tym połączone są 3 lub 4 wagony osobowe, w których aż 200 osób znajduje pomieszczenie. Na przodzie lokomotywy stoi człowiek i trzyma w ręku dwie rączki jakiejś machiny. Gdy przyciągnie ku sobie prawą a odtrąci lewą, pędzi pociąg z ogromną szybkością. W tem spostrzega w pewnej odległości jakąś przeszkodę na drodze; od razu dzwoni, dając znak, aby ustępowano miejsca, równocześnie odtrąca od siebie prawą rączką i pociąg jedzie wolniej. Przeszkoda jednak nie ustępuje, może jakiś ciężki towarowy wóz nie może lub nie ma wśród nacisku miejsca ustąpić z drogi; w ten czas kierownik przyciąga ku sobie lewą rączkę maszyny i pociąg się zatrzymuje na miejscu! Koleje te nazywają w Chicago „cable” (Kebl). Długo się zastanowiłem, na jakich zasadach ten sposób jazdy spolega. To mi było jasne, siła ciągnąca pociąg znajduje się nie wewnątrz lokomotywy, lecz gdzieś indziej. Ale gdzie? Między szynami kolei spostrzegłem w samym środku trzecią szynę, mającą niewielki otwór prowadzący do wnętrza ziemi pod drogą. Tam więc musi znajdować się tajemnica, lecz jakże jej dobiec? Pewnego razu idąc jedną z ulic trafiłem na budynek, w którym maszyny parowe ogromnej wielkości były w ruchu, ale w pobliżu nigdzie fabryki nie było. Zrozumiałem, że te maszyny są w związku z koleją miasta, lecz jakże mogą maszyny stojące na miejscu przeważać pociągi po całym mieście? Tu nowa zagadka! Rzecz ma się tak. Pod powierzchnią drogi jest kanał, a w nim żelazna lina ogromnej długości, ustawicznie za pomocą

maszyny znajdująca się w ruchu. Od lokomotywy idzie wymienionym otworem do wnętrza drogi żelazne narzędzie podobne do kleszczy, a gdy kierownik przyciągnie ku sobie prawą rączkę, ujmują kleszcze linę, która cały pociąg porywa za sobą. Ten znajduje się w ruchu. Gdy trzeba zwolnić, odtrąca kierownik rączkę, kleszcze opuszczają linę a pociąg idzie tylko siłą własnej ciężkości. Lewa rączka połączona jest z hamulcem i według potrzeby zwalnia bieg pociągu. Do kierowania nie trzeba nic więcej jak trochę wprawy i ostrożności, szczególnie w środku miasta, gdzie istnieje ruch nie do opisania.

Poznawszy trochę plan miasta puściłem się pewnego razu sam, bez towarzystwa, z niewielką mapą w kieszyńi do środka miasta, Sta nałem na jednym z mostów prowadzących ponad rzekę Chicago i z upodobaniem patrzałem na ten nieopisany rój istniejący w około. Powierzchnia rzeki pełna była okrętów i łodzi towarowych, wzdłuż brzegu pędziły pociągi kolejowe, po mieście jechały konne koleje, towarowe wozy, śpieszyli przechodnie; cable przejeżdżają tunelami zbudowanymi w głębi pod łożyskiem rzeki. Naraz, gdy stoję i patrzę, odzywa się syczący dźwięk dzwonu, wiszącego na żelaznych słupach w samym środku mostu; widzę, wszyscy ludzie w nogi, każdy ucieka z mostu, co może; woźnicowie popędzają konie, aby jak najprędzej dostać się na brzeg. Ja zgłupiałem, nie wiedząc co się robi; oglądam się, czy jakie niebezpieczeństwo grozi, ale nie spostrzegłszy żadnego, stoję i czekam co będzie. Sam jeden zostałem na moście. Naraz się chwieje pod nogami podłoga, most wchodzi w ruch, odbija od brzegu, obraca się koło własnej osi i staje wzdłuż rzeki. Byłem jak na wyspie. Naraz huknie trąba okrętu, dopiero zrozumiałem.

W Chicago mają mosty — a liczba takowych jest nie mała — które się jak iglica magnetowa koło własnego punktu ciężkości obracają, aby zrobić miejsce przejeżdżającym okrętom. Widziałem, płynął koło mnie wspaniały parowiec pełen towarów, a za nim drugi i trzeci, aż się szereg trochę przerwał, dzwon znowu zadzwonił, most zaczął się ruszać i za chwilę stanowiący poprzek rzeki znowu otworzył komunikacyą. Ledwie co stanął, odezwał się dzwon na moście sąsiedniej ulicy i to same widowisko. Zdumiałem się nad genialnym pomysłem Amerykanów. Któż kiedy słyszał o mostach, co się naokoło obracają! A gdyby to jaki skromny mostek! Ale mosty w Chicago są blisko trzy razy tak długie, jak most nad Olzą w Cieszynie, łączący miasto ze Saską Kępą, nad czem się nie można dziwować, zważywszy, że między mostem stojącym wzdłuż rzeki a między brzegami z jednej i drugiej strony największe okręty przechodzą!

Osobliwością miasta są także trzy czy cztery domy kasowe. W dawnych czasach mieszkali zbójcy i złodzieje w lasach, dziś mieszkają w wielkich miastach; dawniej nosili odstrasżające ubiory, dziś chodzą w cylindrach i rękawiczkach. Często opisują gazety o kradzieżach i zabójstwach popełnionych w wielkich miastach. Jeżeli tak jest w Europie, to tem gorzej w Ameryce, gdzie się hultajstwo z całego świata zgromadza szukając szczęścia. Złodzieje amerykańscy słyną z przebiegłości i odwagi, umieją użyć nie tylko broni i klucza, lecz także naukę chemii nie gardzą. Celem obrony od podobnych praktyk zawiązało się pewne towarzystwo dla budowy domów kasowych. W takim domu znajdują się same kasy ogniotrwałe, małe i wielkie, w żelaznych ścianach budynku

dowane. Do każdej jest tylko jeden sztuczny klucz. Strony wynajmują takie kasy, mniejsze lub większe w miarę potrzeby i tam swe pieniądze lub rzeczy wartościowe składają. U siebie w domu nikt większej sumy pieniędzy nie ma, ani też innych kosztowności. Za małą kasę płaci się rocznie czynsz 12 złr., za większą stopniowo aż do 1200 złr. Właściciel składa swój majątek i zabiera z sobą klucz od najętej kasy. Towarzystwo zaś przyjmuje odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo. Dla złodziei jest nie-małą ponętą dostać się do takich składów bogactwa, lecz rzecz nie jest łatwą. Osobna straż czuwa we dnie i w nocy, tak iż się nikt cichaczem nie wkradnie. A choćby się wkradł — każda kasa ma innego rodzaju zamek, a klucz znajduje się w ręku właściciela rzeczy wartościowych. Mógłby z resztą próbować gwałtem lub sztuką otworzyć drzwi, lecz gdy się ich dotknie, poruszy telegraficzny aparat, który natychmiast zaczyna dzwonić w mieszkaniu straży, oznaczając miejsce, gdzie się złodziej wdobywa. Straż nie potrzebuje go łapać; jednym tknięciem palca o guzik telegrafu występują ze ściany przegrody i zamykają złodzieja jak w klatce. Za drugim ciśnięciem otwiera się rurka ciepłej pary wodnej i napełnia przestrzeń, w której się znajduje. Biedny złodziej musi się dobro-wolnie poddać, jeżeli się nie chce upiec lub zadusić! Bogacze ba nawet wielkie towarzystwa bankowe chętnie płacą choćby znaczny czynsz za najęcie kasy, wiedząc, że tym sposobem zabezpieczą swe mienie!

Do osobiwości miasta należy dalej tamtejsza straż ogniowa, od czasów wielkiego pożaru jak najdoskonalej zorganizowana. Nie widziałem jej magazynów, ani też w czasie mojego pobytu większego pożaru nie było; wi-

działem tylko jak pewnego razu niewielki odział z sikawką parową pędził przez miasto. Straż jest we dnie i w nocy gotowa do dzieła. Parowe sikawki są opalane, konie stoją przy dyszlu nawpół w uprząży, nad końmi leżą strażacy na materacach, zupełnie ubrani. W tem nadchodzi sygnał, że się gdzieś pali. Za pomocą przyrządów elektrycznych występuje na ścianie napis ulicy i liczba domu; strażacy wkładają na głowę szyszak ogniowy. Za poruszeniem maszyny spada uprząż na szyję koni, materace spoczywających strażaków się chylą, jeźdźcy spuszczaają się wprost z pościeli na siodło konia, a po upływie jednej minuty pędzi pojazd cwałem na miejsce niebezpieczeństwa. W obec tego można zrozumieć, że utrzymanie straży ogniowej w podobnem stanie niepoliczone tysiące kosztuje.

O jakie cztery mile od Chicago znajduje się fabryka wagonów słynnego amerykańskiego bogacza, imieniem Pullman. Kolonia Pullman liczy przeszło 15 tysięcy mieszkańców, z których wszyscy są robotnikami i urzędnikami fabryki; wszystkie domy kolonii są własnością Pullmana. Miasto to odznacza się jedną osobliwością, mianowicie, że niema w niem ani jednego wyszynku, ani jednego sklepu, w którymby wódkę lub piwo albo wino sprzedawano. Pullman jest członkiem towarzystwa wstrzemięźliwości i nie cierpi, aby w jego posiadłościach upajające napoje sprzedawano. Może się nie wszyscy mieszkańcy z tem zgadzają, lecz Pullman o to nie dba; komu się nie podobą, może sobie szukać pracy gdzie indziej.

Chicago jest największem handlowem miastem w świecie. Z zachodnich stron spływa tu zboże, bydło, nierogacizna, drzewo owoce i t. p. Od wschodu przybywają wyroby fabryk europejskich. W mieście i okolicy znajdują

się ogromne magazyny i fabryki. Dla wyobrażenia rzeczy przedstawię niektóre cyfry. Obliczono, że roku 1890 wynosił w Chicago obrót handlowy 1300 milionów złr.; zabito blisko 6 milionów wieprzów i półtrzecia miliona wołów. Jednem z największych bogaczy miasta jest rzeźnik Armour; w jego magazynach zabito roku 1890 półtora miliona wieprzów. Armour przyszedł przed 25 laty do Chicago jako ubogi czeladnik rzeźniczy, rozpoczął handel wieprzowiną, szynkami i słoniną. Przedsiębiorstwo się rozwijało, a dziś w zakładach jego pracuje przeszło tysiąc ludzi. Rzeźnictwo odbywa się za pomocą machin. Majątek Armour's obliczają dziś na 120 milionów złr. w. a.

Powyższe cyfry podawają skromny obraz handlowego ruchu w Chicago. Mimowolnie się pytamy, z kąd ten bajeczny rozwój pochodzi? Wiele czynników składa się na podniesienie przemysłu miasta do tej wysokości, w której się obecnie znajduje!

XII.

„Jeżeli Pan domu nie zbuduje, próżno pracują ci, którzy go budują.“ Psl. 127, 1. Ludzka praca i Boskie błogosławieństwo muszą iść ręka w rękę, jeżeli jakikolwiek cel osiągnąć mamy. Ta ścisła prawda rozwiązuje zagadkę bajecznego rozwoju miasta Chicago i Stanów Zjednoczonych Ameryki w ogóle.

Ameryka jest krajem pracy. Nie brakuje takowej i u nas, w szczególności rolnik nasz musi w pocie czoła wydobyć z ziemi swój kawałek chleba, a nie inaczej robotnik pracujący w głębi ziemi i w fabrykach. Lecz obok ciężko pracujących mamy tysiące uprzywilejowanych, co

o pracy nie wiele wiedzą. W Ameryce z małymi wyjątkami pracują wszyscy, każdy w swoim zawodzie! Praca jest tam w daleko większem poszanowaniu niż u nas. Nadmieniono, że i u nas jest praca w poszanowaniu, bo już Dr. Luter podnosił, że pilność i wierność w powołaniu jest służbą Bożą. Wiem o tem, i uważam wygłoszenie tej zasady za jedną z największych zasług, które sobie reformacja koło cywilizacji świata położyły. Religijne zasady reformacji dużo przeciwnieństwa doznała, lecz co do nauki o pracy i jej znaczeniu, podobno wszyscy ludzie się zgadzają. A jednak pojęcia nasze o pracy są inne jak pojęcia Amerykanów. My szanujemy pracę w teorii, w zasadzie; Amerykanin czyni to w praktyce. My głosimy nauki, a Amerykanin nie dbając o słowo, czynem je pełni! Cóżby u nas ludzie powiedzieli, gdyby jakiś wyższy urzędnik za pługiem chodził? O jednym z dawniejszych prezydentów Stanów Zjednoczonych opowiadają, że często z rana aż do 10 godziny przed południem bywał z kosą na roli podczas żniwa, a potem na naradzie ministrów przewodniczył.

Co mówię o Ameryce, odnosi się tylko do Stanów Zjednoczonych, bo w innych jej krajach inne pojęcia panują. Różnicę tę nie trudno zrozumiemy, gdy zwrócimy uwagę na pierwszych kolonistów kraju. W południowych stronach znaleźli się rozmaici awanturnicy z Hiszpanii i Portugalii, szukający szczęścia i bogactw po za oceanem; w północnych okolicach osiedlali się skromni i pilni ewangelicy, którzy dla gorliwości wiary swojej w czasach religijnych rozruchów z Europy wypędzeni zostali. Ci nie zabrawszy nic więcej jak biblią swoją, według jej nauk i zasad na nową

ziemi żyć postanowili. Potomkowie tych gorliwych ojców przyszedłszy do bogactw i znaczenia porzucili po części pierwotną skromność obyczajów, do tego napływ ludności z Europy nie zawsze najlepszy wywierał wpływ; mimo to nie zatarkło się dotąd religijne piętno, które pierwsi koloniści nadali krajowi; nie zapomnieli Amerykanie, że Biblią i pracą do dzisiejszego znaczenia swego doszli.

Lecz choćby człowiek jak najgorliwiej pracował, z własnej siły, bez szczególniejszego błogosławieństwa Bożego podobnych skutków, jak je miasto Chicago przedstawia, nigdy nie osiągnie. To błogosławieństwo widzę w trojakim kierunku.

Najprzód wymieniam wolność Amerykańską. Nie może ani tam robić człowiek, co mu się podoba, bo pewien porządek musi istnieć wszędzie; lecz podobnego krępowania na każdym kroku, jak w Europie, nie znajdziesz. Niema „assentu“, bo mają tylko kilkadziesiąt tysięcy werbowanego wojska dla utrzymania porządku w kraju; niema szlachty ani jej przywilejów, niema biurokracyi ani tylu ustaw i przepisów i t. p. Można zarzucić, że i tam nie jest wszystko złotem, co się lśni; ale to pewna, wolności w rozwoju życia nie brakuje. My Europejczycy jesteśmy podobni do człowieka, co stary swój budynek ustawicznie poprawia i odbudowuje, lecz ten przez to nie staje się nowym. Amerykanie zaś są podobni do człowieka, co na nowym gruncie buduje dom i może go urządzić, jak mu się podoba.

Drugim darem Bożym jest bogactwo kraju. Już co do ziemiopłodów, jakaż różnica żniwa! Nasz rolnik chwali żniwo, gdy pięć razy tyle zbierze, ile wysiał. Amerykanin liczy na dwudziesto- lub trzydziestokrotny zwrót zasiewu. A w

łonie ziemi jakież to dotąd nienaruszone spoczywają pokłady węgla, kruszcu i drogich kamieni, czekając na ręce, co je wydobędą! W pawilonach pojedynczych Stanów na wystawie w Chicago miałem sposobność powziąć wyobrażenie o bogactwie kraju! Wszystkie te skarby spływają do Chicago i podnoszą jego znaczenie!

A że do Chicago spływają, to zawdzięcza miasto szczególniejszemu położeniu swemu. Boża ręka to miejsce przygotowała, ludzie tylko z niego skorzystali.

Chicago leży o 250 naszych mil na zachód od brzegu Atlantyku, a jednak okręty handlowe płyną z Europy wprost aż do Chicago rzeką Lawrence (Lorenc) i jeziorami, a ztąd idą do Mississippi i Zatoki Meksykańskiej; płyną tedy przeszło tysiąc naszych mil wewnątrz amerykańskiego kontynentu. Wyjawszy dwa sztuczne kanały koło Niagary i do rzeki Illinois, nie potrzebuje ta ogromna droga wodna żadnej reparatury i jest zatem najtańszą. Rozległa sieć kolejowa sprowadza do miasta bogactwa zachodu, przez co jest Chicago wskutek położenia swego już dziś największym miastem handlowym zgoła na całej kuli ziemskiej. Cóż dopiero będzie, gdy wszystkie bogactwa amerykańskiego kontynentu w sposób racjonalny wyzyskane zostaną! Nie nadarmo nazywają to miasto Królową Zachodu; a żeby nią było, dużo wprawdzie zrobili ludzie, lecz nierównie więcej uczynił Bóg.

Według tego, co o położeniu miasta powiedziałem, możnaby przypuszczać, że w Chicago ulicami woda płynie. W rzeczywistości jest dosyć dużo brudu, osobiwie w czasie deszczów, lecz wody już niema, bo w miarę wzrostu miasta nawieziono ziemi i podwyższono grunt, aby wody jeziora więcej nie występowały na ląd. W samym środku

miasta jest odtąd sucho, lubo na przedmieściach są jeszcze drewniane chatki, stojące wśród bagna, na słupach. Powietrze jednak jest w całości zdrowe, widać, że czysta woda jeziora nie wydate żadnych zaraźliwych wyziewów.

Ludność miasta Chicago składa się, jak ludność Ameryki w ogóle, z trzech ras, mianowicie Indyanów, Murzynów i Europejczyków. Do tego trzeba dodać Chińczyków, jako przedstawicieli rasy Mongołów, lecz liczba tychże jest stosunkowo szczupłą, a oprócz tego niewiele Chińczyków osiedla się na stały pobyt w Ameryce.

W opisach można dużo czytać o dzikości i waleczności Indyanów i o krwawych walkach, które koloniści europejscy z nimi staczali. Dziś jest liczba Indyanów już bardzo szczupłą. Dzicy żyją na osobnych przestrzeniach, gdzie ich wojsko pilnuje, aby się na białych nie rzucali. Tam się ćwiczą do boju, polują na zwierza, jeżdżą na dzikich wierzchowcach i prowadzą życie koczujące. Od rządu amerykańskiego, któremu swoją ziemię sprzedali, pobierają w myśl zawartej ugody zboże, bydło i inne rzeczy. Niektóre szczepy przyjęły wiarę chrześcijańską i osiadłszy w osobnych wioskach i miastach zajmują się rolnictwem. Te nie mają żadnej wspólności z dzikimi. Lecz liczba ucywilizowanych Indyanów jest stosunkowo bardzo szczupłą. Dzikie zaś szczepy powoli znikną, bo pracować nie chcą a w obec pracującego Europejczyka się nie utrzymają.

Wstąpiwszy na ziemię amerykańską życzyłem sobie widzieć Indyanów i miałem w Chicago trzy razy sposobność do tego; dwa razy widziałem ucywilizowanych, a jeden raz w stanie dzikim, mianowicie w cyrku obok wystawy, gdzie cywilizowani przedstawiali życie i obyczaje dzikich szczepów

zachodu. Jest to naród śliczny, wysokiej urody, czerwonawej cery, pociągłej twarzy. Duże, czarne oczy iskrzą się jak węgiel rozpalony, a włos mają kędzierzawy, kruczego koloru. Mężczyźni trudnią się polowaniem i żołnierką, pracę zaś, jaka jest, zostawiają kobietom. Umysłowo są dobrze uzdolnieni, lecz do nauki nie mają ochoty.

Do drugiej rasy należą murzyni, których jest kilkadziesiąt milionów w Ameryce, szczególnie w krajach południowych. Zkądże się tam wzięli?

Hiszpanie, osiedlający się w Ameryce, używali do uprawy roli i innych ciężkich robót Indyanów, których gwałtem brali, obchodząc się z nimi jak z niewolnikami. Wkrótce się okazało, że Indianie byli do tego za słabi. Na wyspie Haiti zmniejszyła się ludność krajowa wskutek robót o jakie 70 procentów. W tem wystąpił pewien hiszpański misyonarz, imieniem Las Casas, i radził w interesie uciśnionych, aby dla wymienionych robót lepiej murzynów z Afryki sprowadzono. Od tej chwili t. j. roku 1505, rozwinął się ogromny handel niewolnikami z Afryki do Ameryki. Tysiące a tysiące biednych murzynów pojmano w kraju i sprzedano do Ameryki. W domu odbywały się istne polowania na niewolników, których jak dzikie zwierzęta napadano, starszych zabijano a młodszych związanych kajdanami pakowano na okręty i wywożono do Ameryki. Trudną jest powziąć wyobrażenie o okrucieństwach, jakich biedni jeńcy doznawali. Trwały one przeszło 300 lat, aż roku 1833 wskutek usiłowań szlachetnego ew. kaznodziei Wilberforce powziął parlament angielski uchwałę zabronić handlu murzynami. Angielskie okręty wojenne krążyły po Atlantyku, a biada kupcom, przewożącym murzynów, gdy się w ich

ręce dostali. Natychmiast ich brano i wieszano na masztach, a jeńców prowadzono na powrót do Afryki, gdzie ich w kolonii zwanej Liberia pod opieką ewang. misjonarzy osiedlano. Niedawno umarł w Afryce słynny murzyński biskup Crowther (Krauder), którego jako chłopca Anglicy ocalili, gdy jako niewolnik płynął do Ameryki; następnie go w Londynie wychowali w wierze chrześcijańskiej, wykształcili na kaznodzieję a potem jako ewang. biskupa wyprawili do Afryki, gdzie wśród tamtejszych misyj ewangelickich przez długie lata z wielkiem błogosławieństwem pracował.

W Stanach Zjednoczonych w Ameryce otrzymali murzyni wolność i równe prawa obywatelskie z innymi mieszkańcami po ukończeniu długiej, pięcioletniej wojny domowej r. 1865. W Chicago widziałem mnóstwo murzynów i mulatów t. j. dzieci mieszanej krwi w najrozmaitszych odcieniach. Stanowią oni klasę robotniczą, lubo jest także dużo murzyńskich milionerów. Służba w bogatych domach w Chicago składa się przeważnie z murzynów; w ogrodach pracują murzyni, oraz służą przy koniach jako „pachołcy“ i woźnice. Nad brzegami jeziora Michigan ciekawy nieraz przedstawiał się widok. Bogacze chicago'scy wyjeżdżali w wyłaczanych karetach na świeże powietrze. We wnętrzu siedziała rodzina, na kozle lokaj, Europejczyk, a obok niego woźnica, murzyn czystej krwi, we fraku, białych rękawiczkach, z wysokim pięknym cylindrem na głowie, a twarz czarna, oczy iskrzące, wargi wypukłe, jakby co dopiero był przyszedł z Afryki. Ludność ta murzyńska mówi tylko po angielsku, wyznaje wiarę ewangelicką, i stanowi w Chicago bardzo znaczny procent mieszkańców.

Trzecią rasą są Europejczycy, a podobno niema na

świecie drugiego takiego zbiorowiska wszystkich narodów i języków, jakim jest Chicago. Niema prawie narodu w Europie, któryby tam nie był reprezentowany. Mieszkają Amerykanie, Anglicy, Irlandczycy, Niemcy, Szwedzi, Duńczycy, Francuzi, Czesi, Polacy, Madziarowie, Włosi i t. d. i t. d. Na ulicach słyszysz tylko mówić po amerykańsku, t. j. angielsku, lecz gdy wstąpisz do pojedynczych przedmieść, wszystkie się języki o uszy obijają. Przemysł i bogactwo jest w rękach Amerykanów a w pewnej części także Niemców; wychodźcy z Austrii należą przeważnie do klasy robotniczej.

XIII.

Najkiekolwiek są religie w świecie, w wielkiej Ameryce mają wszystkie swoich zwolenników. Najprzedniejsze miejsce jednak zajmują chrześcianie, a mianowicie w południowej Ameryce katolicy, w północnej zaś z wyjątkiem Meksyka ewangelicy. Proszę rzeczy nie pojmować tak, jakby w południowej Ameryce nie było ewangelików lub w północnej nie było katolików, bo jedni i drudzy są wszędzie i dosyć dobrze się znaszają, lecz na północy są ewangelicy w przeważnej większości, równie jak katolicy na południu. Opisuając stosunki wyznaniowe Ameryki ograniczam się jedynie do Stanów Zjednoczonych.

Pojęcia amerykańskie o stosunku kościoła i państwa do siebie są zupełnie od naszych odmienne. W czasach wojny trzydziestoletniej powstała w Europie zasada, według której poddani powinni byli wyznawać tę samą religią, co książę panujący. Ponieważ król Francyi był katolikiem,

przeto wymagał, aby wszyscy poddani jego tego samego byli wyznania i t. d. Kto się sprzeciwiał, musiał opuścić ojczyznę lub podlegał karze. Taką kolejną wytworzyło się pojęcie o religii panującej w państwie, obok której inne wyznania były albo prześladowane, albo tolerowane. Dnia dzisiejszego ostrza te się zatarły, lubo jeszcze mówimy i mamy powód mówić, że n. p. Austria jest katolicką, Włochy są katolickie, że Szwecya jest ewangelicką i t. p.

W Stanach Zjednoczonych inne w tym względzie panują pojęcia. Było to około roku 1680; w Anglii powstała ewang. sekta „kwaków“, której założycielem był niejaki Fox, człowiek wielkiej gorliwości i pobożności. Kwakrzy odrzucili wszelkie zewnętrzne obrządki religii, ograniczając się do wewnętrznej nabożności serca, budując się na Piśmie świętem. Ze strony rządu wiele przeciwnieństw doznawali. Do sekty przyłączył się w końcu syn admirała floty angielskiej, imieniem Wiliam Penn, i większe im wyjednał znaczenie. Rząd angielski winien był Penn'owi w spadku po ojcu pewną sumę pieniędzy, którą synowi wypłacił nie w gotówce, lecz wyznaczając na własność pewną przestrzeń ziemi w Ameryce, którą nazwano Pennsylvanią. Penn ogłosił, że w jego ziemi nikt najmniejszego pokrzywdzenia z powodu wiary nie dozna, owszem każdy znajdzie zupełną wolność wyznania i sumienia. Wskutek tego ogłoszenia przybywali do kraju przedewszystkiem gorliwi ewangelicy, którzy w ojczyźnie prześladowanie znosili, lecz przybywali także osadnicy innych wyznań. Wolność wiary i równe uszanowanie każdego wyznania stały się podstawą rozwoju i rozkwitu Pennsylvanii, a gdy się kolonie amerykańskie r. 1781 wyzwoliły z pod zwierzchnictwa Anglii, przyjęły Stany Zje-

dnoczone za najprzedniejszą zasadę konstytucyi swojej ustawę o wolności wiary i wyznania. W sprawy religijne obywateli rząd amerykański się najzupełniej nie wdaje. Zasady tej przestrzegają tak dalece, że n. p. w publicznych szkołach ludowych nauki religii niema; pojedyncze wyznania muszą się same starać po za obrębem szkoły o religijne wychowywanie dzieci. W tym celu utrzymują własnym kosztem szkoły wyznaniowe, przedewszystkiem zaś starają się o rozwój szkoły niedzielnej, która jest instytucją właściwą Anglii, a przedewszystkiem Ameryce. Co u nas miejscami niedzielną szkołą nazywają, nie da się porównać z amerykańską, którą określić później znajdę sposobność.

Co do religii dzieli się ludność amerykańska najprzód na dwie wielkie części, na wierzących i niewierzących. Między wiarą i niedowiarstwem są w Europie jeszcze różne stopnie, są obojętni, są chrześcianie z imienia i t. p. Znajdujemy ewangelików, co się chełpią swoim protestantyzmem, lecz po za tem imieniem nie wiele więcej znajdziesz. Cała ich religia w tem zależy, że nie wierzą w to a w to, lecz gdyby mieli określić, co właściwie wierzą, nie będą wiedzieli, co powiedzieć. Otóż podobne prądy są w Ameryce niemożliwe. Tak n. p. prąd zamierającego dziś nowoprotestantyzmu w Ameryce nie znalazł i nie znajdzie miejsca. Nikt nie może dwoma panom służyć, wyznawając równocześnie wiarę i niedowiarstwo. Te dwa obozy są ściśle oddzielone, nie w ten sposób, jakoby zwolennik niedowiarstwa nie mógł stać się wierzącym albo przeciwnie; owszem przejście z jednego do drugiego obozu, mianowicie z niedowiarstwa do wiary, często się zdarza. Stoją one w całości wrogo przeciw sobie, jak dwa nieprzyjacielskie szeregi, co

nieraz sił swoich próbują. Jeden się przed drugim nie kryje. Wierzący wyznawają wiarę swą mężnie i śmiało, postępując według Chrystusowych słów, który mówi: „Wszelki, któryby mię wyznał przed ludźmi, wyznam go Ja też przed Ojcem niebieskim.“ Wierzący pełnią oraz obowiązki szukania dusz ludzkich, aby je do Chrystusa prowadzili. Ztąd się tłumaczy ona wielka gorliwość i zapał misyjny wśród amerykańskiego równie jak angielskiego chrześcijaństwa. Wykonują misję gdzie i jak mogą, a bierze się do pracy, ktokolwiek kocha Chrystusa, czy młody, czy stary, czy kobieta czy mężczyzna.

Nie dawno dowiedziałem się o zajmującym wypadku, który dziwnie objaśnia, co powiedziałem. W kraju Ohio (Ohajo) znajduje się dosyć znaczna liczba polskich wychodźców z Galicyi i Poznania, którzy co do życia religijnego są nieco zaniedbani. Pewna amerykańska panna, gorliwa chrześcianka, postanowiła poświęcić się religijnej pracy pomiędzy nimi. Jedyna trudność zachodziła co do języka, bo polscy wyrobnicy nie umieli po amerykańsku, a ona nie umiała po polsku. Cóż uczyniła? Zabrała swoje rzeczy, przyjechała z Ameryki do Krakowa, gdzie spędziwszy niejaki czas uczyła się polskiego języka, a poduczwszy się wróciła do domu, by między Polakami misyjną pracę rozpocząć. Tego rodzaju wypadki nie są rzadkością, ale należą do codziennych.

Katolicy odznaczają się w Ameryce równie jak w Europie doskonałą organizacją; i tam jest hasło: Jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego. Na czele katolickiego kościoła stoi legat papieski kardynał Satoli, którego amerykańskim papieżem nazywają. Jest tak dalece upelno-

mocnionym, że przeciw wyrokom jego niema rekursu do papieża. Pod nim są arcybiskupi, duchowieństwo, zakony i t. d. Nie małą rolę odgrywają jezuici. Ta siła duchowna jest zorganizowana jakby wojsko stojące pod dowództwem ogłędnego wodza. Zdaje się, jakby wszystkie kółka tej wielkiej maszyny powinność swą znały i doskonale pełniły. Gdym w Nowym Yorku wysiadł z okrętu, widziałem katolickiego misjonarza, który z wielką pewnością siebie i powołania swego gromadził koło siebie przybywających katolików i na osobne miejsca ich zabierał. Tak na amerykański wstępując brzeg od razu są pod opieką swego duchowieństwa.

Podobna świadomość celu objawia się także w budowaniu kościołów. Kościoły ewangelickie są wszędzie dosyć skromne, katolickie zaś piękne i okazałe. Gdzie się gromadka ewangelików osiedli, budują sobie jak mogą kościoły; inaczej zaś w katolickich osadach. Ledwie się gdzie kilka katolickich dusz znajdzie, od razu im z biskupich funduszy zbudują kościół, powołają księdza i tym sposobem tworzą ognisko, koło którego się koloniści osiedlają. Tak ewangelickie kościoły powstają po założeniu, a katolickie przed założeniem osady!

Wskutek tego możnaby przypuszczać, że kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych ogromne robi postępy. I rzeczywiście tak jest, lecz w tym samym stopniu znaczne ponosi straty, mając do walczenia z dwiema trudnościami. Pierwszą z nich jest wolność, a drugą Biblia. Kościół katolicki opiera się na posłuszeństwie, siła jego zależy w tem, że się świeccy członkowie kościoła we wszystkich sprawach poddawają naukom duchowieństwa. Otóż w kraju tak

wolnym, jakim są Stany Zjednoczone, trudną jest o takie bezwarunkowe posłuszeństwo. Pierwsze pokolenie osadników przynosi je z sobą z Europy, lecz już drugie lub trzecie, co się w Ameryce urodziło, nie zna tej uległości, zkąd wynika, że między duchownymi i świeckimi łatwo przychodzi do nieporozumienia. W Europie biorą rządy sprawę duchowieństwa pod swą opiekę, czego w Ameryce niema; a ponieważ przejście z jednego kościoła do drugiego jest ściśle rzeczą prywatną, o którą się rząd najzupełniej nie troszczy, przeto jest utrzymanie katolików w posłuszeństwie niekiedy dosyć utrudnionem. Do tego dołącza się słowo Boże. Amerykańscy ewangelicy zajmują się Biblią daleko więcej niż my; Biblia się rozpowszechnia, nauki jej się omawiają i dochodzą do wiadomości także katolików, tem więcej, że tam niema takiej przegrody między ewangelikami i katolikami jak w Europie. U nas stoi ludność ewangelicka i katolicka przeciw sobie jak dwa nieprzyjazne obozy, które od dawnych czasów żywią w sercu niechęć. Na amerykańskiej ziemi podobnego przeciwieństwa niema, bo tam jedno wyznanie drugiemu nic złego nie wyrządziło, a miłość ojczyzny jakoś lepiej niż u nas umysły zespala.

Ewangelicy w Ameryce mogliby daleko więcej zdziałać, gdyby mieli trochę więcej tego, co katolików w tak wysokim stopniu odznacza, jednomyslności. Mają słowo Boże, nie brak im środków pieniężnych ani gorliwości serca! Ale niestety są rozerwani i rozdzieleni na tysiące sekt i oddziałów, które się niezawsze nawzajem za bracią uważają. Już ewangelicy augsburskiego wyznania dzielą się na siedm, czy więcej oddziałów. Baptyści są trojacy. Ile jest gatunków Metodystów, Presbyteryanów, Kwakrów i t. d.,

tego nawet nie wiem. A każda sekta trzyma się swego sposobu, o sąsiada nie zawsze się troszcząc. Między starszymi i nowszymi Luteranami istnieje n. p. takie uprzedzenie jak u nas między katolikami i ewangelikami. Nowsze ewangeliczne usiłowania dążą do złagodzenia tych stosunków, lecz co do ewangelickiego społeczeństwa nie można jeszcze niestety rzec: „Patrzcie, jak ci się współ miłują!”

Z powyższych uwag możnaby nie bardzo korzystnie wnioskować o przyszłości ewangelictwa w Stanach Zjednoczonych, lecz w rzeczywistości ma się rzecz inaczej. Pojedyncze ewang. wyznania są podobne do oddziałów wojska, z których każde na własną rękę działa. Widzialnie nie mają wspólnego naczelnika nad sobą, lubo się wszystkie trzymają Biblii. Natomiast żadnemu z nich nie brakuje męstwa ni zapалу i poświęcenia w sprawie Chrystusowej tak u siebie w domu jak na polu chrześcijańskiej misyi. Gdyby zasadom ewangelickiego chrześcijaństwa jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zagroziło, nie brakłoby w tej samej chwili i tego, czego dziś nie widać, mianowicie braterskiej wzajemności i wspólności w działaniu. Amerykański ewangelik może się nazywać luteraninem lub kwakrem, metodystą lub baptystą, lecz Biblii sobie wydrzeć nie pozwoli. Ona jest dla niego jedyną widzialną potęgą, przed którą do wolności nawykłe uchyla czoło.

XIV.

Nadmieniłem, że przybywszy do Chicago stanąłem gospodą w teologicznej szkole Pana Moody. Pytamy się,

kto jest Moody (Mudi)? W Ameryce i w Anglii nie trzeba odpowiedzi na to pytanie, bo imię Moody'ego jest tam tak głośne jak n. p. w Europie imię księcia Bismarka, z tą jednak różnicą, iż Bismark stał się słynnym przez politykę, Moody zaś z polityką nie ma nic do czynienia. Jego powołaniem jest krzewienie królestwa Chrystusowego i prowadzenie serc do Zbawiciela. Moody jest dziś najwięcej wpływowym kaznodzieją Ewangelii Chrystusowej wśród ludności mówiącej angielskim językiem.

Co do osoby, liczy obecnie lat przeszło 60, jest wzrostu średniego, tuszy dobrej. Z postawy i ruchów nikt się nie domyśli kaznodziei, prędzej wygląda na rzemieślnika lub kramarza. Wychowania i wykształcenia wyższego nie odebrał, niewiem nawet, czy choć szkołę ludową ukończył; a jednak Pan Bóg użył człowieka tego za narzędzie do wielkich rzeczy. Jest on rzeczywiście kaznodzieją z łaski Bożej. Stałego powołania na jednym miejscu niema, lecz jeżdżąc po kraju urzęda nabożeństwa po większych miastach Ameryki i Anglii. Środków do utrzymania mu nie brakuje, bo Amerykanie tysiące a tysiące dolarów na jego ręce składają, z których Moody bierze dla siebie, ile dla skromnego wyżycia potrzebuje, obracając resztę aż do ostatniego grosza na cele religijne i dobroczynne.

Nie znam wszystkich kolei jego życia, znane mi są tylko pojedyncze szczegóły, które z pism jego wyczytałem. Według tychże pochodzi Moody z bardzo ubogiej ewangelickiej rodziny. Rodzice jego posiadali małe gospodarstwo w Massachusetts; wśród kilkorga dzieci był jednym z najmłodszych. Gdy liczył lat cztery, umarł ojciec jego i pozostawił rodzinę w wielkiej nędzy i niedostatku. Ukończywszy

lat sześć, musiał Moody z braćmi wychodzić do roboty, aby sobie jak mógł na kawałeczek chleba zapracował. W pamięci i sercu utkwiał mu się lepiej obraz matki, nader pobożnej i cnotliwej niewiasty, która dzieci swoje, jak niegdyś Anna swego Samuela, do Pana prowadziła. Moody niejednokrotnie poświadcza, że to, czem jest, oprócz Panu Bogu wyłącznie matce swojej zawdzięcza; nie dziw więc, że przy każdej sposobności zwraca uwagę na wysokie, chrześcijańskie powołanie matki i w niej widzi najskuteczniejsze narzędzie do zdobycia serc Chrystusowi.

Umysł pacholęcia zajmował się od samego początku sprawami religijnymi, a jak w sercu młodego Lutera tak i u niego wcześniej i potężnie odzywało się pytanie: Cóż mam czynić, abym był zbawiony? „W wiosce mej rodzinnej,” powiada na jednym miejscu, „było zwyczajem, gdy kto umarł, ogłaszać wiek jego uderzeniami o dzwon. Ja każdego razu te uderzenia liczyłem; niekiedy było ich siedmdziesiąt a niekiedy więcej; niekiedy tylko dwa lub trzy, według lat zmarłego. Każde takie uderzenie przekruszało serce moje aż do głębi, a gdy liczba takowych równała się liczbie moich lat, świadcząc, że umarły był prawie w moim wieku, tedy strwożony siadałem i myślałem u siebie, co by zemną było, gdyby mnie śmierć zabrała! — Dziś mię ta sprawa więcej nie trwoży, dziś spokojny jestem i odejść gotowy, skoro mię Pan zawoła, bo się o los duszy mojej nie lękam; Chrystusowi siebie oddałem, a on powiada: „Kto w mię wierzy, ma żywot wieczny.“

Obawy i niepokoje wewnętrzne trwały aż do siedemnastego roku życia; o tym czasie wybiła godzina jego nawrócenia i wewnętrznego oświecenia przed Duchem Bożym,

a uzyskana pewność odpuszczenia grzechów i pojednania z Panem już go więcej nigdy nie opuściła. Stało mu się, jak onym uczniom Chrystusowym w Emaus, gdy poznali Pana. Smutek i trwoga minęły, a miejsce ich zajęła wiara i radość. Takie prędkie, chwilowe nawrócenia wydają się dziwnymi, lecz w Piśmie świętem mamy dosyć przykładów, które poświadczają, jako Pan w jednej chwili nawraca człowieka. U nas się może rzadziej podobne wypadki zdarzają; nasza religijność jest trochę zewnętrzną i martwą, ale w Anglii i Ameryce spotkałem sporą liczbę robotników w winnicy Pańskiej, których ręka Najwyższego w jednej chwili z upadku wyrwała. Świadeństwo takowych było niekiedy tem skuteczniejszym, bo mogli poświadczyć, czem byli dawniej i czem z łaski Bożej się stali. W obronie nagłego nawrócenia, przypominam sobie, przytoczył Moody pewnego razu przykład Zacheusza, który innym był człowiekiem, gdy się wspinał na drzewo leśnej figi, a innym, gdy znowu na ziemi stanął. Gdzież ta zmiana zaszła? Niezawodnie gdzieś między drzewem i ziemią!

Nawróciwszy się do Pana z całego serca i przyjąwszy dar łaski jego, począł młodzieniec zajmować się czytaniem i badaniem Pisma świętego. Na tem miejscu nadmienić muszę, że ewangelicy Zachodu inne zajmują stanowisko w obec Pisma świętego, niż my. My szanujemy Pismo i uważamy je za święte, ale na tem koniec. Ponieważ jest święte, przeto je zachowamy gorzej lub lepiej, a więcej się nie wiele o nie troszczymy, chyba że trzeba jaki wyrok odszukać albo jaką naukę kościoła słowem Bożem potwierdzić. Nie tak znalazłem w Anglii i Ameryce. Tamtejsi ewangelicy nie łamią sobie głowy opisami o Biblii, lecz powiadają: „To jest słowo Boże; w niem do mnie prze-

mawia Bóg, a więc moim obowiązkiem jest dowiedzieć się, co Pan do mnie mówi. Słowo jego jest dla mnie objawieniem, obietnicą, prawdą nieomylną. Moim obowiązkiem jest przyjąć tę prawdę i do niej się zastosować.“ W pewnym religijnem zgromadzeniu w Londynie była mowa o obronie religii i słowa Bożego od zaczepiek racjonalizmu. Rozmaite w tym względzie odzywały się zdania. W tem powstał ś. p. ks. Spurgeon i w te słowa się odezwał: „Mówicie, panowie o obronie słowa Bożego! Ja tę myśl znajduję niewłaściwą, ba po prostu śmieszną! Któżem ja, abym słowa Bożego bronił? Albo jakiej słowo Boże potrzebuje obrony? Sprawa ma się przeciwnie. Ja potrzebuję, aby mnie słowo Boże broniło, i chętnie się obronie jego poruczę; lecz słowo Boże — to ani mojej ani waszej obrony nie potrzebuje.“

Pismo święte jest słowem Bożem, a kiedy Bóg do mnie przemawia, powinienem Mu wierzyć. Jeżeli świadectwo ludzkie przyjmujemy, świadectwo Boże większe jest. Kaznodzieje amerykańscy nie uczą się tyle świeckich umiejętności, choć i na nich się poznać usiłują, ale znajomość Pisma świętego jest u nich daleko większa. Według ich pojmowania nie to kazanie jest dobre, które miłą rozrywkę sprawia; nie to, które wymową zachwyca; nie to, które literę słowa Bożego objaśnia; ale to, które w duchu i myśli słowa Bożego dusze ludzkie do Chrystusa prowadzi. W tym duchu wziął się Moody jako 20-letni młodzieniec do badania Pisma świętego. Nie miał do tego nauczyciela ziemskiego; nauczycielem był mu Duch Święty, który natchnął serce jego głęboką miłością i wiarą Chrystusa tudzież miłością dusz ludzkich, grzechem obciążonych a jednak w Chrystusie mogących mieć spokój i zbawienie.

Dostała mi się przed rokiem do ręki pewna niemiecka gazeta: Vom Fels zum Meer. Nie wiem, w którym numerze znalazłem artykuł wyszydzający Moody'ego i ewangeliczną pracę jego, ponieważ pojęciom wymienionej gazety nie odpowiadała. Można sądzić o tem, jak się komu podoba; lecz zaprzeczyć nie można, że rozbudzenie ducha religijnego zawdzięczają w Ameryce w niemałej części Moody'emu i pomocnikom jego. Nie mała to była odwaga dla młodego człowieka nie mającego ani stanowiska ani świeckiej nauki, wystąpić przed publicznością wydając świadectwo o Chrystusie i Ewangelii jego, a jednak praca ta nie była nadaremna, bo rozbudziła ducha religijnego wśród ludności mówiącej angielskim językiem a Moody'emu zjednała znaczenie najpopularniejszego męża w Ameryce i Anglii. Gdzie się Moody zjawi mając zabrać głos, tam tysiącami garną się tłumy; idą wykształceni, idą prostaczkowie a bez wrażenia nie odchodzi nikt. Obecnie urządza nabożeństwa po większych amerykańskich miastach; przed dwoma laty urządzał takowe w Anglii, przy czem każe każdy dzień, niekiedy dwa, a nawet trzy razy.

Jakże wytłumaczyć tak cudowny wpływ, który ten człowiek na umysły wywiera? Nie jest on skutkiem nauki i wiedzy, bo Moody prawie żadnego wykształcenia w młodości nie odebrał. Nawróciwszy się do Pana zajął się badaniem Pisma i dziś można rzec, przejął i wżył się nie tylko w treść, lecz przedewszystkiem w ducha Biblii. — Do tego jest mowcą z urodzenia; wymowa jego płynie jak piękny strumyk czystych górskich wód, niekiedy mile i łagodnie, to znowu gwałtownie i porywająco, a w falach jego odbijają się i lśnią obrazy otoczenia i błękit nieba i obłoków jego.

Tajemnicza siła wpływu tego nęża tłumaczy się przede wszystkim zupełnem poświęceniem serca Chrystusowi. Nie jakoby każde słowo było świętem; Moody nie gardzi nawet żartami i uwagami, które całe zgromadzenie porywają w śmiech. Lecz i w tych wycieczkach jest pewne namaszczenie. W pismach swych opowiada na jednym miejscu, że gdy był w Edynburgu, wstąpił do pewnego sklepu, gdzie kupiec zapytał się obecnego przyjaciela: „Czy ten młody człowiek jest z ciałem i z duszą Chrystusowi oddany?” — „Tak jest,” odrzekł przyjaciel. Tedy kupiec, podawszy mu rękę, uścisnął go gorąco i rzekł: „Tak niechaj będzie! Chrystusowi z duszą i ciałem!” — „Jakże mi te słowa,” wspomina Moody, „w sercu pały!”

„W mieście Boston,” powiada na innem miejscu, „trafiłem na jakiegoś niedowiarka. Było to nie długo po mem nawróceniu a ja myślałem, że przed każdym człowiekiem powinienem bronić nauki Ewangelii. Lecz mój to, warzysz, biegleszy odemnie w rozumowaniu, wszystkie moje wywody doskonale odparł. Ja zgłupiałem, lecz od tego czasu nigdy się więcej w dysputy nie wdaję. Ja wierzę słowu Bożemu i na tem koniec; a gdy kto powiada, że nie wierzyczego nie rozumie, to ja od siebie dodaję, że ja wierzę!”

Przed laty trzydziestu połączył się Moody z towarzyszem tej samej, co on wiary i gorliwości, imieniem Mr. Sankey (Sęki), i obydwa razem aż po dziś dzień wspólnie podróżują i wspólnie pracują. Sankey nie jest kaznodzieją, ale śpiewakiem z urodzenia i nauki. Przy nabożeństwach zasiada do swych amerykańskich organów, podobnych do naszego harmonium, gra i oraz śpiewa swym dźwięcznym, rzewnym głosem z uczuciem i pokorą piękne angielskie na-

bożne pieśni, sposobiąc przez to umysły do przyjęcia kazania. Tak śpiewak i kaznodzieja ręka w rękę wspólnie działają. W Chicago miałem sposobność poznać osobiście jednego i drugiego, bośmy pod tą samą strzechą mieszkali i u tego samego stołu siadali. Styczność z tymi dwoma mężami będzie mi miłą pamiątką na całe życie.

XV.

Stany Zjednoczone postanowiły uświetnić 400-letnią pamiątkę odkrycia Ameryki urządzeniem wielkiej światowej wystawy. Między miastami ubiegającymi się o takową odniósł Chicago zwycięstwo. Wystawa minęła i wspomnienia o niej należą do historii; w ciągu dalszym znajdę miejsce do podania o niej kilku szczegółów. Teraz tylko nadmieniam, co i tak jest wiadome, że to była pierwsza wielka wystawa, co się zakończyła bez niedoboru, owszem przyniosła miastu kilka milionów złr. czystego zysku.

W obec zbliżającej się wystawy powziął Moody szczególniejszą myśl. Należało oczekiwać, że się zbierze ludność z całego świata, że nie zabraknie sposobności i siedel do rozlicznej rozpusty i moralnego upadku tak ludności miejscowej jak gości zagranicznych, bo gdzie jest ścierwo, tam się i orły gromadzą. Przeciw temu trzeba więc walczyć, a do tej walki jest tylko jedno oręż — Ewangelia.

W wspomnieniach z dawniejszych lat pracy Moody'ego znajduję następujący ciekawy wypadek. Moody i Sankey odbywali nabożeństwa misyjne nie wiem już w którym amerykańskim mieście. Dwaj przedsiębiorcy zbudowali ogromną

restauracją, licząc przedewszystkiem na ludność robotniczą, którą pragnęli zwabić, aby u nich swój zarobek przepijała. W tym celu urządzili przy otwarciu salonu — tak w Ameryce nazywają karczmy — bezpłatną pijatykę na wielką skalę. Miała być muzyka i tańce, a każdy zaproszony mógł jeść i pić bezpłatnie do woli. Rozsyłano karty z zaproszeniem, a ktoś wystosował takową przez żart także do Moodyego. W dzień przed uroczystością udał się Moody osobiście na miejsce i przedstawiając zaproszenie pyta się, czy istotnie może przybyć na otwarcie salonu? „I owszem,” odpowiada jeden z właścicieli, nieznając gościa, „bardzo prosimy. Gdy Pan masz kartę, to proszę przychodzić. O tej a tej godzinie zaczyna się zabawa.“ — „Czy wolno mi przyprowadzić z sobą kilku przyjaciół?“ — „Bardzo nam będzie przyjemnie, gdy jak najwięcej gości przybędzie,” odrzekł gospodzki; „proszę ich zabrać z sobą!“ Pożegnali się i Moody wraca do domu. Gdy wychodził, spostrzegł go drugi przedsiębiorca, któremu przyszło podejrzenie, czy to nie Moody i czego może szukać w gospodzie?

Przystępując do niego pyta o nazwisko i nie mało się zmieszał, widząc domysł swój potwierdzonym. „Czego Pan u nas szuka?“ odezwał się zaniepokojony. — „Jutro otwieracie swój szynk i zapraszacie gości. Ja też otrzymałem zaproszenie i chciałem się przekonać, czy rzeczywiście mogę przybyć?“ — „Przecież Pan na otwarcie restauracji nie przyjdzie?“ — „Owszem, przyjdę; mam wezwanie; a oprócz tego jeszcze ustnie otrzymałem pozwolenie przyprowadzić z sobą kilku przyjaciół.“ — „Ależ przecie nie myślicie u nas nabożeństwo urządzać?“ — „Wie Pan co,” rzecze Moody, „ja myślę, że tu jutro będą niektórzy ludzie nadużywali

imienia Bożego; przeto chciałbym z przyjaciółmi moimi używać go w dobry sposób!" — „Ale zmiłujcie się, nie śpiem i kazaniem, bo nam wszystkich gości wypłoszycie!" — „Bardzo żałuję, lecz oto jest moje zaproszenie; o tej a tej godzinie stanę z przyjaciółmi mymi na miejscu." Gospodzki w niemałym kłopotcie prosi i błaga, aby tego nie czynił. Moody najechał przedewszystkiem na jego sumienie, jak się Pana Boga nie boi, stawiając sidła na dusze ludzkie, a potem mu następujący przedstawił wybór. „Albo ja jutro przybędę i odprowadzę nabożeństwo," powiada, „albo Pan natychmiast ze mną tu na ziemi ukłęknieś i będziesz się modlił." Kolana przedsiębiorcy już dawno się nie ugięły przed Panem Bogiem, dla tego nie łatwą było mu ukłęknać i nie nawykłym sposobem złożyć ręce do modlitwy, lecz z dwójga nieprzyjemności ta ostatnia wydawała się mniejszą. Ukłękawszy na ziemi gorliwie się modlili, aby Pan Bóg całe to przedsięwzięcie w niwecz obrócił, aby ich serca chciwością i grzechem ogarnięte oświecił, a z drogi ciemności raczył nawrócić. Nie łatwą było, modlić się w ogóle, a tem więcej przeciw sobie samemu, lecz uzyskał pewność, że na otwarcie szynkowni Moody nie przybędzie. Uroczystość odbyła się świetnie, lecz od tej chwili jakoś im sprawa stała się niesmaczną. Po upływie jednego roku obydwaj zbankrutowali; jeden z nich w nędzy zakończył życie, a drugi nawróciwszy się do Chrystusa został w przyszłości sam misyonarzem.

„Ludzie będą nadużywać imienia Bożego," pomyślał Moody także przed rozpoczęciem wystawy; „trzeba się tedy starać, abyśmy my go w dobry sposób używali." W tym celu postanowił wszelkich użyć środków, aby w Chicago

podczas wystawy odbyć istną walkę religijną, urządzając nabożeństwa, gdzie i jak tylko można, a tym sposobem przeciwić grożącemu walczyć skażeniu. Staraniem Moody'ego stała się w Chicago szkoła teologiczna dla kształcenia młodzieży obojga płci dla służby Ewangelii bądź to w domu bądź na polu misyi. Druga tego rodzaju szkoła istnieje w Springfield. Jest to właściwością Stanów Zjednoczonych, że się tam rząd stara jedynie o szkoły ludowe, nie zaś o średnie i wysokie. Te są prywatnem przedsiębiorstwem. Jaki bogaty obywatel postanowi bądź to z religijnych bądź z innych pobudek obrócić część swego majątku na cele dobroczynne, więc sfunduje wszechnicę i wyznaczy kapitał potrzebny na jej utrzymanie, albo zbuduje kościół lub szpital lub muzeum i t. d. W ten sposób powstają wszystkie podobne instytucje, do czego się rząd najzupełniej nie wdaje, chyba że chodzi o określenie jakich szczególniejszych postanowień. Przed kilku laty sfundował pewien bogaty Amerykanin własnym kosztem całą wszechnicę, postawił budynki nie w mieście, lecz w otwartem polu i postarał się oraz o domy na mieszkanie profesorów i studentów. Nim przystąpił do wykonania rzeczy, wyjednał najprzód u rządu legalne zastrzeżenie, że w obrębie półtora mili naokoło wszechnicy nigdy ani wódka ani piwo ani wino nie będą sprzedawane. Po jego śmierci wzrosła liczba budynków, około szkoły powstało miasto, lecz zapisanego zastrzeżenia nikt obalić nie może. Miasto nazywa się Evanston, według założyciela wszechnicy, imieniem Evans. W całym mieście ku powszechnemu dobru tak studentów jak innych mieszkańców nie ma ani jednego szynku. Upajającego napoju nie dostaniesz chyba w aptece jako lekarstwo za zapisem doktora.

Moody znalazł dobroczyńców, którzy mu pomogli założyć wyższe szkoły w Springfield i Chicago i pomagają utrzymać takowe. Szkoły w Springfield, która ma być obszerniejszą, osobiście nie widziałem; zakład naukowy w Chicago składa się oprócz obszernego kościoła z kilkunastu budynków, w których mieszka i znajduje za bardzo niską cenę wikt i utrzymanie kształcąca się młodzież. Na oddziale mężczyzn znajdowało się przeszło 100 studentów, na oddziale kobiet 80 panien; studenci są pod nadzorem jednego z profesorów, oddziałowi panien przewodniczy pewna starsza pani. Ćwiczenia i nauki odbywają się wspólnie. Wykształcenia wysokiego od uczniów szukających przyjęcia nie wymagają, ale czego żądają, to jest głęboka religijność serca, żywa wiara i oświecenie przez Ducha Bożego. Namaszczenie do służby Chrystusowej studenci sami z sobą przynoszą, nauka zmierza tylko do głębszego zaznajomienia ich ze słowem Bożem i zasadami jego tudzież do poznania sposobu, jak najlepiej pełnić służbę Chrystusową. Nasze europejskie szkoły dają studentom daleko obszerniejsze i gruntowniejsze wykształcenie co do nauk ogólnych, ale takiej znajomości Pisma i jądra nauk chrześcijańskich jak amerykańskie nigdy nie dadzą. Nie źle lubo trochę ostro określił tę różnicę profesor Morehead, który jako gość miewał podczas mojej obecności teologiczne wykłady w Chicago. Przy pewnej sposobności powiedział: „Niemieccy uczeni mają ten zwyczaj, że przedstawiając tę lub ową naukę Pisma wyczerpią najprzód całą jej historią a potem całą swą filozofią; do tego dodadzą trochę własnego rozumowania, a z tego wszystkiego wyniknie — plewa!” Zdumiałem się nad tem wyrażeniem Morehead’a, lecz w pewnej części musiałem

przyznać słuszość. Ile poznałem sposób naukowy Amerykanów i Anglików, a znam sposób nauki Niemców, mogę tylko wyrazić żal, że co do pracy na polu teologicznem Niemcy prawie nic o Anglikach a Anglicy zgoła nic o Niemcach nie wiedzą. Jedną i tę samą niwę uprawiają, ale tak, że się jeden o drugiego wcale nie troszczy. A jednak nie mały byłby to zysk dla jednej i drugiej strony, gdyby się z sobą znaszali. Anglicy mogliby nieco z niemieckiej gruntowności, a Niemcy dziesięćkroć więcej z angielskiej praktyki skorzystać. Na przeszkodzie stoją językowe trudności. Anglik się nie będzie uczył niemieckiego, Niemiec zaś angielskiego języka, tylko my musimy się uczyć jednego i drugiego; mamy przez to więcej pracy i trudu, ale też tem większy duchowy zysk.

Po ukończeniu szkoły Moody'ego wychodzą młodzieńcy i panny do praktycznej pracy na polu chrześcijańskiej religii jako kaznodzieje, misyonarze, misyonarki, nauczyciele i nauczycielki w domu i zagranicą. Tam jeszcze zawsze odzywa się słowo, że żniwo jest wielkie ale robotników mało.

Podczas wystawy przemieniono pewną część budynku szkolnego na mieszkania dla zaproszonych pastorów, którzy w religijnej pracy mieli brać udział. Byli tam rozmaici kaznodzieje, profesorowie, śpiewacy i śpiewaczki, prawie wyłącznie Anglicy i Amerykanie. Każdy zabawił krócej lub dłużej, a znów innemu ustępował miejsca. Przez całe lato tylko ich kilku zostawało. Podczas mojego pobytu byłem tam jedyny obcy; wszyscy inni byli angielskiego pochodzenia, rozumieli tylko po angielsku. Nie mogłem się więc w domu rozmówić inaczej jak po amerykańsku, co

miało swoje trudności, lecz nie mało wpłynęło na uzyskanie wprawy w tym języku.

Z Moody'm często rozmawiałem, lubo miałem trudności w tym względzie; jego wybitnie amerykański akcent angielskiego języka utrudniał mi zrozumienie. W pierwszych dniach pośredniczyła w rozmowie Pani Moody, rodzona Angliczanka, którą dobrze rozumiałem. W kilka dni przyzwyczaiło mi się ucho do dźwięku amerykańskich wyrazów, tak iż w rozumieniu więcej trudności nie miałem.

Miedzy osobami, z którymi się bliżej zaznajomiłem, wymieniam oprócz Moody'ego przedewszystkiem trzech pastarów.

Pierwszym był profesor Torrey, dyrektor lub jak Anglicy powiadają, Superintendent szkoły, nadzwyczaj miły i sympatyczny człowiek, który się wszelkim sposobem przyczyniał, aby mi pobyt w Chicago uprzyjemnić. Torrey rozumie trochę po niemiecku, lecz mu wielką trudność sprawia mówić tym językiem.

Drugim był pastor Mc Neill (Mek Nil) ze Szkocyi; powiadają, że między młodszymi dziś pierwszy kaznodzieja w angielskim języku. Obecnie liczy lat 34, silny i rumiany mężczyzna. Urodził się z bardzo ubogich rodziców, i w dzieciństwie już pokazywał niepospolite zdolności kaznodziejskie. Pewnego dnia stał na brzegu morza, mając koło siebie pewną liczbę szkockich rybaków, którym jako 12-letni chłopiec kazał słowo Boże. W tem przechodziła pewna bogobojna pani i ujrzała ten małeńki zgromadzony zbór i kaznodzieję jego. Podeszedłszy bliżej słuchała słów chłopaka, które ją tak co do treści jak co do formy mocno zastanowiły. Przeczuwając, że go do wielkich rzeczy wyposażył

Bóg, zajęła się jego opieką, własnym kosztem wysłała do szkół i na kaznodzieję Ewangelii wykierowała. Imię Mc Neill'a znane jest wśród całego angielskiego społeczeństwa. Po ukończeniu wystawy w Chicago powrócił do Anglii, a z tąd wyjechał do Australii, gdzie obecnie jeździ od miasta do miasta, urządzając kilkodniowe nabożeństwa misyjne. Anglicy mają we zwyczaju wysyłać swoich najzdolniejszych kaznodziei po rozmaitych miastach i krajach celem rozbudzania ducha religijnego wśród ludności.

Trzecim był pastor Schiverea, człowiek w moim wieku. Ten, jak mi opowiadano, ani miesiąca w szkole nie był, a jednak w swoim zakresie z nadzwyczajnem błogosławieństwem działa. Tego człowieka prawdziwie podziwiałem, byłem bowiem na kilku nabożeństwach obecny, na których przemawiał. Darem jego jest działać między najpodlejszymi warstwami społeczeństwa. Pijacy, złodzieje, nierządnicę i tym podobna zgraja go słuchała i na kazania jego się garnęła, a Schiverea tak im jakoś do serca trafiał, że stawali i ślubowali, iż już więcej tą drogą chodzić nie będą. Najlepszym dowodem jego pracy była ta okoliczność, iż w której części miasta kazał, żalili się szynkarze na zupełny upadek swych interesów. Ten człowiek mi głęboko przypadł do serca.

XVI.

„Słowo Chrystusowe niechaj mieszka w was obficie ze wszelką mądrością, nauczając i napominając samych siebie przez psalmy i hymny i pieśni duchowne, wdzięcznie śpiewając w sercach waszych Panu“. Kolos. 3. 16.

Oto obraz błogosławionego chrześcijańskiego nabożeństwa. Gdzie takowe istnieje, tam niechybne świadectwo głębokiej chrześcijańskiej religijności wydaje albo przynajmniej do niej prowadzi. W tym celu urządził Moody w Chicago nabożeństwa w roku wystawy. Zamierzam określić, gdzie i jak się odbywały.

U nas odprawia się nabożeństwo w kościele i odprawia w domu; pierwsze nazywamy publicznem, drugie domowem. W Anglii i Ameryce znalazłem jedno i drugie, ale oprócz tego używają jeszcze miejsc innych. W krajach gęsto zaludnionych jak Anglia i w miastach tak dużych jak London, Nowy York, Chicago i inne znajdziesz tysiące ludzi, co domowego nabożeństwa nie odbywają a na publiczne także nie idą. Ci żyją bez Pana Boga, bez religii, bez celu wyższego, niż jest troska o chleb powszedni. Tych trzeba tedy szukać i nieść im słowo Boże, co czyni misya wewnętrzna w rozlicznych swoich gałęziach.

W Anglii odbywają się nabożeństwa na ulicach miast, w ogrodach i parkach pod szczerem niebem, a w szczególności tak zwana „Armia zbawienia“ w tym kierunku działa. W miastach Ameryki tego rodzaju nabożeństw nie znalazłem. Policja ich wprawdzie nie wzbrania, lecz także nie forytuje, ponieważ publiczność amerykańska składa się z najrozlicniejszych żywiołów, na które nie zawsze spuścić się można. Nabożeństwa odbywają się przedewszystkiem jak w Europie, w kościołach.

Wspaniałych kościołów na rodzaj wielkich świątyń europejskich w Ameryce nie znalazłem, najwspanialsze są zwyczajnie katolickie. Jeżeli w którym pomieści się dwatysiące osób, to go już za ogromny uważają. W przecięciu

budują kościoły na tysiąc lub mniej osób. Za to różnią się te kościoły od europejskich, że zgoła wszystkie mają dwa piętra. Na dole znajduje się ogromna sala, tak długa i szeroka jak kościół, lecz nie bardzo wysoka. Nad nią jest powała, a nad powałą dopiero wznosi się właściwa przestrzeń kościoła, z ławkami albo najczęściej wygodnymi fotelami czyli wyścielanymi krzesłami, z galeryami i obszernem podwyższonem miejscem dla chóru i kaznodziei, które „platform“ nazywają. Ołtarza i ambony jak u nas nie mają, takowe znajdują się tylko w katolickich i niektórych luterskich kościołach. Nie mają także wieży i dzwonów, jak u nas; a jeżeli jest wieża, tedy tylko bardzo mała. W Ameryce nie dzwonią tyle na kościołach jak u nas.

Świątynie obliczone są na to, aby jak najwięcej ludzi pomieściły i aby wszędzie każde słowo kaznodziei zrozumiano; przeto nie budują ich jak u nas, w formie podłużnej lecz w formie półkoła, zupełnie jak nasze teatry, tak iż z każdego miejsca widać kaznodzieję. Do tego ma każdy kościół oświetlenie gazowe lub elektryczne, iż o każdej porze można mieć nabożeństwo, a każdy kościół ma przyrządy do opalania, tak iż wśród najcieplejszego mrozu na dworze siedzisz na nabożeństwie wygodnie i przyjemnie, a może cieplej niż u siebie w domu. Na te wszystkie rzeczy mają wzgląd od razu przy zakładaniu kościoła.

Na nabożeństwo nie wzywają dzwonami, lecz ogłaszają takowe przez gazety, przez plakaty i przez drukowane kartki, czyli bilety, które młodzież na ulicach rozdawa przechodzącym, roznosi po domach i t. d. W Ameryce nie ma nabożeństwa, którego by nie ogłaszano w gazetach, kartkami i jakimkolwiek możliwym sposobem. Z początku

mi się to dziwnem wydawało i zwróciłem na to uwagę Amerykanów, którzy mi jednak oświadczyli, że u nich trudno jest sprowadzić publiczność do kościoła inaczej, jak tego rodzaju ogłoszeniami. Jest naturalnie wyszczególnione imię kaznodziei, śpiewaków i innych osób, które mają zabrać głos. Według tego, czy kaznodzieja ma imię i jest popularną osobą, przybędzie większa lub mniejsza liczba osób do kościoła. Pewnego razu siedząc u stołu z pastorami opowiadałem im, że u nas nie trzeba ludzi zapraszać na nabożeństwo ani gazetami, ani kartkami, bo sami od siebie przychodzą! „Czy to może być?” pytali się Amerykanie! „Gdzież to taki kraj, co nie potrzeba ogłaszać nabożeństw?” A potem zwracając się jeden do drugiego z istnem zdumieniem sobie opowiadali, że Dr. Pindór i koledzy jego nie potrzebują w domu zapraszać ludzi, aby na nabożeństwo przyszedli, bo sami przychodzą, a co więcej tysiącami się garną!“ Ta okoliczność amerykańskich pastorów mocno zastanowiła.

Przy nabożeństwach nie używają tyle organów, które się rzadko w amerykańskich kościołach znajdują, ile fortepianu i tak zwanego „amerykańskiego harmonium“, które bardzo łagodny i melodyjny ma dźwięk.

W salach znajdujących się pod spodem kościoła odbywają się zgromadzenia nabożne, walne posiedzenia, narady i t. p.

Ponieważ nie wszyscy ludzie przyjdą do kościoła, przeto usiłują się zwabić publiczność odbywając nabożeństwa na innych miejscach. Przedewszystkiem używają do tego sal przeznaczonych na rozliczne zgromadzenia ludowe. Sam w takiej sali miewałem kazania. Oprócz tego używają ogromnych namiotów z płótna, jak u nas w cyrkusach. Ta-

kowe stawiają w lecie na polach i łąkach pod miastami, gdzie się ludzie wieczorem przechadzają, i tam wśród zgromadzenia urządzają wieczorami nabożeństwo ze śpiewem i popularnem kazaniem. Ludzie widzą światło, słyszą śpiew i mowy, przychodzą i słuchają, a choć dużo przychodzi tylko przez ciekawość lub dla szyderstwa, to przecie tu i ówdzie padnie ziarnko słowa Bożego do przygotowanego serca i wyda owoc błogosławiony. Nie jeden już grzesznik został tym sposobem nawrócony na drogę żywota. Podczas wystawy w Chicago wynajął Moody kilka wielkich teatrów na cele nabożeństwa w pewne dni każdego tygodnia. Tak odbywały się w wielkiej operze każdego dnia o pierwszej godzinie po południu zgromadzenia do modlitwy. Mimo ogromnych letnich upałów przychodziło każdy dzień o wymienionej porze kilka tysięcy ludzi, miejscowych i przychodniów, co nabożną zaśpiewawszy pieśń ukłęknięli każdy przy krześle swoim i z kolei gorące modły zanosili do Boga. Budujący to widok, gdy kilka tysięcy ludzi klęcząc korzy się przed Bogiem, wynurzając przed nim w słowach i westchnieniach najgłębsze uczucia pobożnego serca. Tu odzywają się jęki marnotrawnego syna, w którego sercu obudził Duch Boży poczucie nędzy, w jaką go grzech wprowadził; tam słyszysz namaszczone kapłańskie westchnienia, jakimi niegdyś Mojżesz lub apostoł Paweł wzdychał do Boga, modląc się za lud; tu modli się matka za błądzące dziecko, tam patryota woła do Boga, by błogosławieństwem otaczał ojczyznę! Któż chce wysłować, ile dobrego takie nabożeństwa zdziałały, lubo się odbywały — w teatrze, t. j. w tem samym miejscu, gdzie kilka godzin później zgromadzał się lud dla rozrywki i zabawy.

Na szczególniejszy pomysł wpadł dalej Moody. W samym środku miasta nad brzegiem jeziora Michigan był ogromny cyrk, w którym się z wyjątkiem niedzieli dwa razy dziennie przedstawienia odbywały. Moody wynajął ten cyrk na każdą niedzielę aż do jesieni od godziny 10—12 dla odprawienia nabożeństwa, i wezwał publiczność gazetami i plakatami, aby przyszła słuchać słowa Bożego. Najlepszych śpiewaków zabrał ze sobą. Niestety, nie byłem tam nigdy, bom o tej godzinie sam miewał kazania, lecz mi opowiadano, że był to widok nie do opisania. Zaraz w pierwszą niedzielę przeszło pięćdziesiąt tysięcy narodu się zgromadziło. Ludzie, którzy od dawna w kościele nie byli, do cyrku się garnęli! Moody kazał w swój popularny, serdeczny sposób, co służy ku pokojowi; a gdy zgromadzenie zanuciło jedną z dźwięcznych, uroczystych amerykańskich pieśni nabożnych, tedy wszystkie lwy, tygrysy, hyeny pozamykane w klatkach zaczęły wyć i tym sposobem jak szczególniejsza dzika orkiestra wtórowały śpiewowi.

Za wynajęcie cyrku, teatrów, sal i innych tym podobnych lokalów trzeba było grube pieniądze zapłacić, lecz o te rzeczy Mr. Moody nie dbał. Gdzie o chwałę Bożą idzie, tam wśród amerykańskich i angielskich ewangelików znajdują się dobroczyńcy, co głęboko do kieszeni sięgną, szczególnie gdy chodzi o poparcie pracy Moody'ego.

Przy rozpoczęciu nabożeństwa zasiada pastor na podwyższeniu, zwanem „platform“, przy stole, na którym leży biblia, a koło niego zajmują miejsce śpiewacy i śpiewaczki; obok tych grupują się prezbyterowie i goście. Pastorowie nie mają żadnej urzędowej szaty; komża, nawet rewerenda nie są w używaniu. Nawet czarnego ubioru nie przywdzie-

wają, lecz przewodniczą nabożeństwom i mają kazanie w czystem zwyczajnem ubraniu. Podczas pobytu mego w Chicago kazałem w przecięciu cztery razy w tygodniu, ale nigdy nie miałem innego ubioru jak ten, w którym wychodziłem na ulicę. Pastorowie nawet czarnej a tem mniej białej krawatki nie brali, szli na mównicę w jasnych krawatkach. Duch republikański nie cierpi żadnego odszczególnienia pojedynczych stanów przez uniformy, a tak samo ani osobnej szaty duchownej nie lubi. Pastorowie są w kościele od rozpoczęcia aż do zakończenia nabożeństwa; są niejako przewodnikami takowego, oznaczają pieśni do śpiewania, nie tabliczkami w kościele, jak u nas, lecz ustnie jedną za drugą, wygłaszają modlitwy i cały porządek nabożeństwa prowadzą.

W Chicago odbywały się nabożeństwa w kościele każdej niedzieli o 10. godzinie przed południem i o 7. wieczór, tudzież każdego dnia o 8. z wieczora. Tak było podczas wystawy; oprócz niej odbywają się tylko we wtorek i piątek o 8. wieczór. U nas żartuje ludność katolicka, że ewangelicy tylko w niedzielę i święta sobie na kościół wspomną. Jest to rzeczywiście pewien niedostatek, który się może miejscowymi stosunkami, nie powiadam usprawiedliwia, lecz tylko tłumaczy. Nadmieniam, iż w Anglii i Ameryce ma się rzecz inaczej; tam przynajmniej co wtorek i piątek wieczór w każdym ewangelickim kościele jest nabożeństwo, rozumie się przy świetle.

Liturgii u nich prawie żadnej nie znalazłem; najprzedejnszymi częściami nabożeństwa są: śpiew, kazanie słowa Bożego i następujące zachęcanie się do życia chrześcijańskiego.

W kościołach amerykańskich prześlicznie śpiewają, a śpiewają na przemian, najprzód dzieci, potem cały zbor, potem osobne chóry, a znowu tylko pojedynczy fachowo wykształceni śpiewacy i śpiewaczki, którzy mogą być ozdobą najpierwszej świeckiej opery. Jeżeli śpiew którego wiersza pieśni nie był doskonałym, tedy Moody zawołał: „Jeszcze raz ten wiersz powtórzyć!“ A całe zgromadzenie usiłowało się naprawić, co było niezupełne. Innemu poczytanoby to za złe, lecz Moody'ego wszyscy usłuchnęli. Na odmian rozkazał, aby jeden wiersz śpiewały tylko galerye, drugi wiersz tylko same panie i t. d. Śliczny i dźwięczny śpiew miał służyć do zwabienia publiczności do kościoła i przysposobienia umysłów na kazanie słowa Bożego. Przy każdym większym kościele utrzymują Amerykanie osobnych nauczycieli śpiewu kościelnego i wszelkich dokładają starań, aby śpiew przy nabożeństwie wzorowo się odbywał. W tym względzie moglibyśmy się niejednej rzeczy od nich nauczyć.

XVII.

Kaznodzieja powstawszy z krzesła ogłasza ustęp Pisma św. z którego zamierzaazać. Wszyscy obecni otwierają Biblią i razem z nim czytają. W Ameryce przynoszą ludzie do kościoła Biblią, Kancyonał zaś zostawiają pod opieką kościelnych aż do przyszłego nabożeństwa i t. d. Sposób kazania jest inny niż u nas! Amerykanin usiłuje się zagrzać serca, pokazać im znikomość rzeczy ziemskich i pokój w społeczności Chrystusowej. W tym celu używa niekiedy podobieństw, któreby u nas nie zawsze pochwalono. My po-

wiadamy, że w kościele, jako miejscu świętem, cały ustrój nabożeństwa powinien być poważnym; amerykańscy kaznodzieje przytaczają niekiedy tak drastyczne przykłady, że całe zgromadzenie wybuchu śmiechem. Z początku mię to bardzo raziło, lecz się później przyzwyczaiłem. Na nudne kazanie nikt tam nie przyjdzie do kościoła, trzeba koniecznie zająć słuchacza. Lecz cokolwiek kaznodzieja mówi, to wszystko tchnie pewnem nabożeństwem i do jednego zmierza celu, mianowicie prowadzenia duszy do Chrystusa.

U nas słuchacze siedzą spokojnie na kazaniu; nie tak w Ameryce. Gdy kaznodzieja powie jaką prawdę, która im szczególniej trafi do serca, tedy się od razu z pośród zgromadzenia odzywają głosy, wołając: „Tak jest! Tak jest! — Amen! Amen! Chwała Bogu. Chwała Bogu! — Niech się tak stanie!“ Niekiedy są to pojedyncze głosy, niekiedy zaś zgół całe zgromadzenie wybuchu okrzykiem, tak iż kaznodzieja musi przerwać, aż się umysły uspokoją, a za chwilę nowym wybuchem swe uczucia objawia. Na takim nabożeństwie nikt się nie zdrzemnie ani nie zaśnie. Tak znalazłem rzeczy w północnych częściach Stanów Zjednoczonych. Gdym o tem z Amerykanami rozmawiał, opowiadali mi, iż powinienbym południowe okolice kraju zwiedzić, gdzie murzyńska ludność mieszka, która jest daleko żywszą i wrażliwszą od Europejczyków. Tam na nabożeństwach słyszeć i widzieć można rzeczy, o których my wyobrażenia nie mamy. Wśród kazania objawiają się głębokie westchnienia, gesty, okrzyki, które przychodnia podziwem napawają! „Ach mój Jezu! kiedyż przyjdziesz! — Panie, Tyś moje kochanie! i t. d.“ Całe zgromadzenie przedstawia się czasami, jakby w zachwyceniu było!

Naprzeciw mównicy znajduje się w każdym amerykańskim kościele okrągły zegar umieszczony w obiciu galeryi; tym sposobem jest kaznodzieja w stanie tak rzeczy pokierować, że się nabożeństwo zawsze o pewnej, wyznaczonej porze zakończy.

Po ukończeniu takowego zaprasza zgromadzonych na drugie, więcej prywatne nabożeństwo do sali znajdującej się pod spodem kościoła, które się od razu zaczyna i zawsze godzinę lub dłużej trwa. W Chicago w kościele Moody'ego zawsze połowa obecnych brała udział w tem drugiem nabożeństwie, które jak z doświadczenia mogę rzec, jest właściwością amerykańskiej duszpasterskiej pracy i rzeczywiście na zastanowienie zasługuje.

Przed kilkoma laty zapytali pastorowie w Edynburgu Moody'ego o tajemnicę nadzwyczajnego wpływu jego na umysły ludzkie. Przecież i oni gorliwie się usiłują, każą, modlą się, zgromadzenia modlitewne odbywają, a jednak podobnych skutków pracy swojej nie widzą. Ludzie idą z kościoła do domu wzruszeni i zbudowani nabożeństwem, ale za niejaki czas ów zapal przygasa a owoców nie widać. „Różnica między nami jest ta,” rzekł Moody; „wy zapuszczacie sieci ku łowieniu tak jak ja; lecz wy tych sieci potem na brzeg nie wyciągacie, a ja wyciągam!” „Jak to mamy rozumieć?” zapytali duchowni. „Nabożeństwo publiczne jest zapuszczeniem sieci,” odparł Moody. „Modlitwą i kazaniem zagarniacie niejedną duszę dla Chrystusa; ale potem odchodzicie do domu, a rybki rozbiegłszy się z sieci znowu się po szerokiem morzu tulają jak przedtem. Ja zaś postępuję jak rybak, co zagarnąwszy ryby, wyciąga sieć na brzeg, a potem każdą z osobna obejrzy. Po nabożeństwie zapraszam zgromadzonych, a na

tem drugim zebraniu z każdym z osobna o potrzebie duszy jego rozmawiam. Tam się usiłuję utwierdzić wrażenie, które na publicznem nabożeństwie odebrał.”

Po nabożeństwie zgromadzaliśmy się w sali pod kościołem. Jeden ze studentów zasiadłszy do harmonium grał z cicha melodyą pieśni, którą obecni zniżonym głosem śpiewali. Potem wszyscy uklękli na ziemi, każdy obok krzesła swego, spędzając chwil kilka na cichej modlitwie; następnie ktoś z obecnych modlił się na głos; potem następowały krótkie opowiadania o rzeczach, które komu na sercu leżały; polecano je Panu Bogu w modlitwie, a znowu stłumionym głosem dalej śpiewano pieśni. W tym śpiewie cichym jakaś dziwna siła na umysły się pojawiała. Podczas niego obchodził Moody i pomocnicy jego dokoła zgromadzonych, zagajając z pojedynczymi rozmowę o rzeczach zbawienia! „Czy Pan jesteś chrześcianinem? Czy Pani jest chrześcianką?” To zwyczajnie było pierwsze pytanie. Nie chodziło tu o chrześcijaństwo z imienia, lecz o chrześcijaństwo z duszy i serca. „Czy Pan kochasz Jezusa i naśladujesz go?” — Odpowiedź brzmiała: „tak jest” albo „nie”. W razie potwierdzenia zapraszano zagadniętego, aby sam także z innymi rozmawiał; w przeciwnym razie skinął Moody od razu na kogoś z swoich towarzyszy, aby usiadłszy obok niewierzącej lub powątpiewającej osoby otwierał jej pisma, wskazując drogę do zbawienia. Zaczynała się religijna rozmowa, której skutek był rozmaity; jedni może już Dachem Bożym poruszeni zaczęli się interesować, pytając: „Cóż mam czynić, abym był zbawiony?” Inni w uporczywem zostawali milczeniu i dla słowa wiary nie okazywali serca. W tych zgromadzeniach widziałem rzeczy, które mię nieraz mocno wzruszyły. Przytoczę

tylko dwa wypadki, których naocznym byłem świadkiem.

Pewnego wieczora, było to we środę, kazał w kościele Moody'ego pastor Mc Neill, przedstawiając w drastycznych kolorach próżnię serca światowego człowieka i oraz wskazując spokój i szczęście, które Jezus daje wierzącym. Wieczór był gorący, gdyśmy się około w pół do dziesiątej do sali udali. Mc Neill nie zajmował się rozmową z obecnymi, lecz usiadłszy w rogu mównicy szukał chłodu, bo był bardzo spocony. Naraz występuje z pośród zgromadzenia pewna młoda pani w bogatym ubraniu, widać że z zamożnego pochodząca domu, przystępuje do Mc Neilla, usiada obok niego i po cichu z nim prowadzi rozmowę. Słowa kazania trafiły jej do serca, a mając zaufanie do kaznodziei szukała u niego rady, jakby wstąpić na drogę zbawienia. Była to spowiedź w idealnem znaczeniu wyrazu. Jak chory szuka rady u lekarza, tak dusza zaniepokojona pyta się doświadczonych: „Co mam czynić, abym żywot wieczny odziedziczyła?” Rozmowa trwała przeszło pół godziny; zatem oboje ukłękawszy obok swych krzeseł wspólnie się Panu pomodlili, wzywając pomocy jego, aby Ducha swego służebnicy swojej użyć. Następnie powstawszy od modlitwy pożegnali się, Mc Neill pozostał aż do końca zebrania, wymieniona zaś pani wracała do domu. Patrzałem na nią, gdy wychodziła; oblicze jaśniało szczęściem i zadowoleniem wewnętrznem, bo w ten wieczór znalazła Chrystusa. Ewangelia Chrystusowa nie utraciła uszczęśliwiającej siły swojej aż po dziś dzień, byle jej tylko w sposób właściwy używano.

Innego wieczoru widziałem w sali młodego człowieka, który z twarzy i postawy przypominał obraz syna marnotrawnego. Słuchał obojętnie śpiewu i żadnego wzruszenia nie oka-

zywał. Professor Torrey przystąpiwszy zapytał: „Czy Pan jesteś chrześcianinem?“ „Nie!“ odpowiedział. „Czy Pan jesteś szczególnie?“ — „Nie, nigdy nie byłem!“ — „Przecżże nie szukasz Zbawiciela, wszak on spracowanym i obciążonym sprawia odpocznienie?“ — „Ja się nigdy o religią nie troszczyłem, ani też Biblii nie wierzę!“ była odpowiedź przybłądy. Professor Torrey spojrział z westchnieniem w górę, jakby błagał Pana o nawrócenie tej błądzącej duszy. Następnie otworzywszy Biblią wskazał na 6. wiersz 53. rozdziału księgi Izajasza i poprosił gościa, aby razem z nim te słowa czytał. Czytali powoli z zastanowieniem najprzód słowa: „Wszyscyśmy jako owce zbłądzili!“ — „Czy to prawda?“ pyta Torrey z powagą i przyciskiem! Gość zarumienił się i rzekł: „Prawda! Jako owce, zbłądziliśmy.“ Był rzeczywiście taką błądzącą owieczką. — Dalej czytali: „Každy na drogę swą obróciliśmy się!“ — „Czy to prawda?“ pyta Torrey. — „Prawda, tak było i u mnie,“ odparł zagadnięty z głębokiem westchnieniem. — Ach, któż z niego zdejmie brzemię, któż owieczkę błądzącą na prawą drogę wprowadzi? Jego siły za słabe, a naokoło tak ciemno, tak pusto, tak samotnie. „Nędznyż ja człowiek, któż mię wybawi z tego ciała śmierci?“ — Czytali dalej: „Pan włożył nań nieprawości wszystkich nas. Uciśniony jest i utrapiony, a nie otworzył ust swoich: jako baranek na zabicie wiedziony jest!“ — „A więc kiedy on nieprawości nasze włożył na się, tedy już ich więcej nie ma na nas,“ tłumaczy Torrey. „Czy wierzysz w Syna Bożego?“ — Duch Boży oświecił serce błądzącego, światłość krzyża Chrystusowego rozpędziła ciemności duszy, wstał z miejsca swego tego wieczoru jako nowy człowiek, a idąc do domu, radował się!

Tak na własne oczy widziałem, co osobista praca w Pańskiej sile i zaufaniu wykonać może. Prawie ta część duszpasterskiej działalności najmocniej mię zajmowała, bom czegoś podobnego w Europie nigdzie nie widział ani nie słyszał. Gdym odjeżdżał z Chicago, wręczył mi professor Torrey na pamiątkę przez siebie wydaną angielską książkę pod tytułem: „How to bring men to Christ“ t. j. Jak ludzi do Chrystusa prowadzić? Znalazłem tam wiele ciekawych szczegółów i wskazówek, które opowiadają, jak się amerykańscy ewangelicy usiłują szukać błądzących i do Chrystusa prowadzić dusze. Według takiego pojmowania rzeczy jest Ewangelia nie historią tylko ani formą zewnętrzną, lecz jest prawdziwie mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu. Wiele w Ameryce ciekawych rzeczy widziałem i miałem sposobność rozszerzyć swój pogląd, ale co nadewszystko przekładał, to jest ta okoliczność, że widziałem rodzaje religijnego życia i pracy, które nam są najzupełniej obce. Gdym o tych rzeczach opowiadał w Bremen, misyonarz Krone wzywał mię, abym doświadczenia swoje ogłosił drukiem, bo sprawa ta wśród ewangelików w Niemczech tak samo jest obcą

Przy opisie nabożeństw wypada jeszcze wspomnieć o szkołach niedzielnych. W publicznych szkołach Stanów Zjednoczonych niema nauki religii, o tę się kościół stara. W obec tylu różnych sekt i prądów trudną byłoby urządzić naukę religii tak, aby wszystkie strony były zadowolone. Dzieci zgromadzają się po kościołach i odpowiednich salach w niedziele i pewne godziny tygodniowe na naukę religii. Na czele sprawy w pewnym okręgu stoi kierownik, którego zowią superintendentem; ten ma koło siebie spory zastęp ochotników składających się z nauczycieli i nauczycielek, studentów, boga-

bojnych panienek i pań, które siły swe pragną poświęcić pracy w winnicy Chrystusowej. W godzinę nauki zaśpiewają zgromadzone dzieci wspólnie jedną lub dwie pieśni nabożne, a potem kierownik podzieli dzieci na małe oddziały, po 5 lub 6 chłopców albo dziewcząt a każdy oddział przydzieli osobnemu nauczycielowi lub nauczycielce. Wszyscy z dziećmi jeden i ten sam przedmiot omawiają. O dyplom naukowy nikt się nauczyciela nie pyta, chęć przysłużenia się sprawie jest najlepszym dyplomem. Dla użytku szkoły niedzielnej mają Amerykanie osobne niewielkie gazety z ilustracyami, rozumie się w angielskim języku, które dzieciom bezpłatnie rozdają. Te gazety wychodzą w milionach egzemplarzy na każdą niedzielę.

W drugą niedzielę pobytu mego w Chicago poszedłem o 3. godzinie popołudniu do kościoła Moody'ego na naukę szkoły niedzielnej. Po śpiewie ugrupował kierownik dzieci w małe oddziały, a ujrzawszy mnie, wezwał mię, abym także jedną grupę uczył. Nie uchodziło się wzbraniać, więc zgodziłem się uczyć je — w angielskim języku. Przedmiotem według programu było kilka wyroków z Przypowieści Salomonowych o wstrzemięźliwości. Jeżeli już do nauki w ogóle trzeba zupełnej biegłości w języku wykładowym, tedy tem więcej, gdy o tak szczegółowym przedmiocie jest mowa, jak o wstrzemięźliwości. Myślałem sobie, że sprawa nie pójdzie bardzo łatwo; ale na szczęście, szczebiotliwe amerykańskie dziewczęta mi ją ułatwiły, bo tyle same gadały, iż się dużo pytać nie potrzebowałem. Nie mało jednak byłem rad, gdy się godzina zakończyła.

XVIII.

Dotąd opisywałem, com widział i słyszał, lecz o własnej swojej pracy nie wspomniałem jeszcze. Może szanowni czytelnicy i w tym względzie zechcą się czegoś dowiedzieć.

Zostałem wezwany do mówienia przemówień religijnej treści w polskim języku. Przybywszy na miejsce dowiadywałem się, jakie przygotowania dla mnie zrobiono i prawie się przeląknęłem słysząc, że w tym celu nie zrobiono nic. Mr. Moody i pomocnicy jego wiedzieli w ogóle, że w Chicago mieszka liczna ludność polska, wychodźcy z Galicyi, z Poznańskiego i innych ziem polskich; wiedzieli, że ze stanowiska ewangelickiego się zapatrując, ludność ta jest religijnie najzupełniej zaniedbaną, nie znając Biblii ni Chrystusa ofiarowanego za nas i żyjącego w nas, lecz pokładająca wiarę swą jedynie na zewnętrznych praktykach kościoła. Między wszystkimi innemi narodowościami w Chicago krząta się misya ewangelicka, tylko między Polakami nie. Mieszkają tam Czesi, a wśród nich pracuje pastor czeski, pan Adams, rodzony Amerykanin, który celem pracy swojej dziesięć lat spędził w Pradze, aby się czeskiego języka nauczył. Nawet wśród włoskich robotników każą Ewangelią po włosku — tylko Polacy stoją opodał i wszelkie usiłowania przynieść im słowo Boże okazały się dotąd bez skutku. Nie można się temu dziwować. Trzeba sobie tylko wyobrazić prostego galicyjskiego kmiotka z okolicy Krakowa lub gdzieindziej a wspomnieć przed nim o ewangelikach; w tej samej chwili będzie się żegnał znakiem krzyża, aby odpędzić szatana! Takiego rodzaju jest polskie wychodźctwo do Ameryki. Jest smutną to powiedzieć, ale

jednak rzecz ma się tak, pomiędzy wszystkimi wychodźcami do Ameryki są co do nauki i oświecenia Polacy bardzo zaniedbani, bo nawet między Słowakami jest więcej ludzi otartych w świecie. Znajdują się między Polakami chlubne wyjątki, a sporą liczbę bardzo zacnych i oświeconych ludzi znalazłem w Chicago, lecz stosunkowo procent takowych jest bardzo niski.

Mojem zadaniem było poczynić kroki, aby jaką misją między tamtejszą polską ludnością zagaić. Zadanie zaprawdę nie łatwe do spełnienia, i kto wie, czybym się był odważył pojechać do Chicago, gdybym był o prawdziwym stanie rzeczy wiedział! Tem więcej byłem zadowolony, że przecież choć nie dużo w tym kierunku działał.

Dnia 9. maja poszedłem z profesorem Torrey w robotnicze dzielnice miasta, gdzie polska ludność mieszka. Widzieliśmy polskie godła i polskie napisy, znaleźliśmy polską aptekę, polskie sklepiki, drukarnie i t. d. Zagajaliśmy rozmowę po angielsku i po polsku z rozmaitymi ludźmi i dowiedzieliśmy się, że żyje w Chicago koło set tysięcy polskiej ludności, przeważnie wyrobników. Dalsze dochodzenia doprowadziły do odkrycia, że się między temi tysiącami tylko trzy czy cztery ewangelickie osoby znajdują. Polacy mają tam duży katolicki kościół; religijną opiekę wykonuje ks. proboszcz otoczony trzynastu pomocnikami. Ten jest przewodnikiem całej kolonii, bez jego woli nie stanie się nic. W całości Polacy ślepo rozkazów jego słuchają i na ręce jego składają ciężko zapracowany grosz. Pewien niemiecki pastor opowiadał mi o następującem zdarzeniu, które ludność polską charakteryzuje.

Pewien piekarz ewangelicki, znając polski zwyczaj jedzenia „święconego“, przygotował na wielkanoc dużo pieczywa,

jakiego tamtejsi wyrobnicy używają, lecz ani jednego kawałka nie sprzedał. Dziwował się temu i w zaufaniu pytał się pewnego Polaka, dla czego u niego nie kupowali. Zapytany przyznał, że towar był dobry, cena przystępna, forma odpowiednia, ale jednego brakowało, pieczywo nie było przez ks. proboszcza poświęcone.

Mr. Moody ofiarował mi pomoc pieniężną, jakiegokolwiek potrzeba, czy na druki, czy na wynajęcie sali do nabożeństwa, bo nie ulegało wątpliwości, że Polacy do ewangelickiego kościoła nie wejdą, słowem wszystko gotów był uczynić, byle się tylko między tych ludzi dostać ze słowem Bożem, nie dla nawracania ich do kościoła ewangelickiego, lecz dla prowadzenia dusz do Chrystusa. Amerykanie nie wiele się o to troszczą, do jakiego kto kościoła należy, im chodzi o to, aby człowiek był chrześcianinem z duszy i serca; może przy tem należeć do jakiego chce społeczeństwa chrześciańskiego. Zbawienie w Chrystusie należy się wszystkim, ewangelikom i katolikom i t. d. A zatem gdy kto Chrystusa każe ludowi, a czyni to w okazaniu mocy i ducha, tedy go Amerykanie słuchają czy ewangelicy czy katolicy. Tak ma się rzecz w angielskim języku; lecz inaczej ma się tu w Europie, gdzie wyznania chrześciańskie wrogo wobec siebie stoją. Nie dziw tedy, że katolicy Polacy w Chicago nie wielką mieli ochotę słuchać słowa Bożego, choć macierzyńskim głoszonego językiem. Gdy się wskutek zabiegów moich sprawa trochę rozpowszechniła, wszystkie polskie gazety o mnie pisały, a przeważna ich część ostrzegała ludność, aby się luterskiego heretyka chronili, bo tylko na to przyjechał, aby ludzi bałamucić.

Tymczasem oddano mi salę dla kazania słowa Bożego

niemieckim osadnikom w Chicago. Co wtorek i piątek o 8. godzinie z wieczora zgromadzała się pewna liczba pań i mężczyzn, córka pewnego angielskiego pastora grała na organach, a ja miewałem kazania. Te chwile należały do najprzyjemniejszych całego pobytu mego w Ameryce. Zbór się tak jakoś do mnie przywiązał, iż mię koniecznie chciano jeszcze dłużej u siebie zatrzymać. W pierwszych rzędach zgromadzenia widziałem zawsze pewną panią, która z wielką uwagą kazania słuchała. Opowiadano mi o niej ciekawą historią; była zamężną i w dobrych stosunkach materyalnych. Niestety, miała męża ogromnego gbura i niedowiarka. Szydził z Biblii, szydził z wiary i nabożeństwa i ogromnie się gorszył, że żona do kościoła chodziła. Gdy wieczorem wracała do domu, nie doznała bardzo miłego przyjęcia, owszem obelgi, przekleństwa a może nawet okrucieństwa ją czekały. Nie wiedziała jak sobie począć; nie raz myślała nie przyjść więcej, lecz gdy chwila nabożeństwa nadeszła, znowu przychodziła. Patrząc na nią pomyślałem, jak bardzo to ludzkie serce musi tęsknić za Panem Bogiem, kiedy go ani klątwy ani okrucieństwa nie zastraszą. „Pragnie i bardzo tęskni dusza moja do Boga żywego“. Zwyczajnie bywa, że złe nad dobrem odnosi zwycięstwo; tu stało się przeciwnie, złe nie odniosło zwycięstwa. Czy dobre nad złem zwyciężyło, nie wiem, lecz o tem nie wątpię. Choćby to serce niedowiarka z kamienia było, na widok takiej wierności, pokory i cnoty musi się rozczulić. Ja kazałem słowami, ona kazała przykładem i czynem, a to kazanie nie da się wysmiać ani wyszydzić. Cześć tej chrześcijańskiej niewieście, co takim sposobem w domu prowadzi misyą! — Jeszcze drugą niewiastę wielkiej pobożności

miałem sposobność poznać. Urodziła się w Bawaryi, lecz w latach panieństwa dostała się do Ameryki, wyszła za mąż a po śmierci małżonka wśród trudów i mozółu wychowywała swą liczną osierociałą dźiatwę. Opowiadała mi o ciężkich chwilach życia swojego. Pewnego razu, będąc w chorobie i niedostatku czuła się bliską rozpacz i niewiedzi, co począć. Niezbożną nigdy nie była, lecz wielkiej pobożności serca także nie okazywała. Wieczór uklękawszy pomodliła się i szukała odpoczynku. W tem jakaś światłość ją oświeciła i w uniesieniu ducha mniemała widzieć Pana Jezusa; wyraźnie zaś na uszy swoje te słowa Pana słyszała: „Jam jest z tobą; ja wszelkiej nędzy twojej zaradzę.“ Głosu tego, opowiadała mi, w życiu swem nigdy nie zapomnę. Za krótki czas minęła choroba, dzieci podrastały, Pan jej pomagał, a w uniesieniu serca swego już tylko jemu służyć pragnęła. Ta niewiasta opowiadała mi z wielkiem namaszczeniem o doświadczeniach wiary swojej. Największą jej było uciechą słuchać słowa Bożego i dawać świadectwo o Chrystusie. Dla czegoż u nas tak rzadko znajdziesz niewiastę tak mocnej i głębokiej wiary? Gdyby ich tylko choć kilka było, ileżby dobrego zdziałać potrafiły! Ta pani głęboko odejścia mego żałowała.

Podobne wypadki mocno mię do słuchaczów moich przywiązały, tak że powróciwszy do domu jeszcze z nimi przez listy rozmawiałem. Lubo między Niemcami wdzięczne pole pracy znalazłem, nie przestałem jednak szukać sposobu, jakby się dostać między Polaków, dla których mię powołano. Sprawa jednak nadzwyczaj okazała się trudną. Próbowałem wprost przystąpić do nich, lecz się nie udało, próbowałem dostać się między nich przez Czechów, lecz

także nie było można, usiłowałem się nawiązać stosunki przez polskich żydów i na wezwanie misyonarza żydowskiego miałem we dwa sabaty kazania w misyi żydowskiej, ale i ta droga nie doprowadziła do celu. W końcu trafiłem do redakcyi czasopisma „Zgoda“, wylegitymowałem się przed redaktorem, który mię uprzejmie przyjął, i oświadczyłem, że przybywszy do Chicago na krótki czas mam dwojaką misyą do spełnienia; chciałbym najprzód złożyć pozdrowienia polskiej ludności naszego kraju dla Polaków w Chicago, a po wtóre chciałbym miewać przemówienia treści religijnej w polskim języku. Ten poprzedni zamiar bardzo się obecnym w redakcyi panom podobał, lecz co do drugiego oświadczyli, że nie mogą w niczem dopomódz. Oni sami nie żyją w zgodzie z księdzem proboszczem, owszem przeciw niemu walczą, widząc jak ten biedny i ciemny lud na własną korzyść i dla swych celów wyzyskuje; lecz gdyby sprawę religijnych wykładów ewangelickiego pastora polecili, podaliby księdzu przeciw sobie broń i wielkąby część abonentów utracili. Z tego względu proszą o wybaczenie, iż pomódz nie mogą.

Postanowiliśmy urządzić uroczystość na pamiątkę śmierci Kopernika, bo się tak najlepiej według kalendarza okazywało, a przy tej sposobności wstawić do programu punkt odnoszący się do mojego powitania. W oznaczoną niedzielę miałem przed południem kazanie w kościele niemieckich Prezbjteryanów, a po południu udałem się do dzielnicy Polaków, gdzie w gronie dosyć liczego zgromadzenia obchodziliśmy pamiątkę Kopernika. Były śpiewy, deklamacye, mowy i t. p. Przemówieniem swoim, które „Zgoda“ ogłosiła drukiem, udało mi się zagrzać serca, tak iż sobie

szczerą wzajemność wyjednałem, bo mi nawet śliczny bukiet kwiatów wręczono. Od tej chwili otworzyła mi się droga religijnego działania między Polakami. Zalałem się w gronie samych katolików, ale ludzi z wychowaniem. Byli tam literaci, lekarze, prawnicy, kupcy i t. d. Co do religijnego stanowiska byli wszyscy niedowiarkami, niektórzy nawet jawnymi ateuszami. „Myśmy już dawno te wszystkie obrządki i praktyki katolickiego kościoła odrzucili,” odzywali się do mnie; „my w nic nie wierzymy. Lecz widzimy przed sobą człowieka z wychowaniem i nauką, przeto chcielibyśmy poznać zasady religii, jak się z protestanckiego stanowiska przedstawiają.” Od tej chwili rozpoczęła się dla mnie praca teologiczna, naukowa, w gronie światłych ludzi, mężczyzn i niewiast, którzy w praktyki katolickie utracili wiarę, a czegoś głębszego, coby serce i sumienie zadowalało, od kościoła swego nie otrzymali. To jest słabą stroną katolicyzmu, iż prosty lud trzyma w prawdzie w karbach, lecz światłym i wykształconym umysłom nie daje zaspokojenia.

W rozprawach tych nie było tyle pobożności, ile filozoficznych wywodów. Nie mogłem się powoływać na Biblię, bo katolicy niedowiarkowie w słowo objawienia Bożego nie wierzyli. Jedyłą bronią była filozofia. Rozumie się, żeśmy się tylko nad zasadami nauk chrześcijańskich zastanawiali. Rozprawy rozpoczynałem modlitwą, potem mówiłem o przedmiocie a w końcu następowała dysputa roztrząsająca każdą zasadę. Niekiedy te rozprawy trwały przeszło dwie godziny, odbywały się przez cały miesiąc dwa nawet trzy razy w tygodniu. Były one dla mnie ogromnie wysiłające, tak że mię bardzo często po takiej długiej dysputacyi głowa bolała; lecz mimo to się cieszyłem, że i dla

Polaków mógł coś uczynić. Słuchacze moi wytrwali przy mnie przez cały miesiąc, co nie mało znaczyło. Musiałem jednak przypuszczać, iż za niejaki czas zostaną przesyleni i gdy najgłówniejsze zasady omówimy, szczególnie wśród tamtejszych upałów letnich przestaną uczęszczać na zgromadzenia. To nastąpiło koło 18. czerwca. Praca moja między Polakami została ukończoną i przestałem odbywać zebrań. Natomiast praca między Niemcami w najlepszym kwiecie się znajdowała. Cóż tu było robić? Między Niemcami mogłem się obracać jak najdłużej; lecz ci mają swoich własnych pastorów. Moją sprawą było tylko zrobić początek pewnego ruchu. Do tego w domu opuściłem zbór a znów i tęsknota za domem się pojawiała. Postanowiłem przedłożyć sprawę panu Moody, który zastanowiwszy się nad nią chętnie mię chciał jeszcze przytrzymać dla Niemców, lecz przez wzgląd na zbór nasz uznał za ważniejszą, abym wracał do domu.

W Chicago zrobiłem, co w danych stosunkach uczynić mogłem. Nie jedno ziarno Ewangelii zasiałem; czy ono weszło i owoc wydało, o! Pana Boga zależy. Jeżeli On domu nie buduje, na próżno pracują, którzy go budują.

XIX.

Wspomnieć jeszcze wypada o niektórych szczegółach mojej pracy w Chicago. W niedzielę dnia 14. maja wyjechałem w towarzystwie pewnego angielskiego misyonarza do domu biednych (poorhouse) w pobliżu miasta. Jechaliśmy koleją przez płaszczyzny jakich 8 mil od Chicago, ażeśmy stanęli pośród osady składającej się z kilkunastu wielkich budynków. Fundacya jest własnością miasta i osadzają tam bezpłatnie osoby biedne i chore, które sobie więcej nie mogą zapracować na chleb a nie mają nikogo, ktoby się o nie starał. Tam mieszkają starcy i staruszki, chorzy i opuszczeni, mają bezpłatnie pomieszkanie, wikt i ubranie. Podobne zakłady ma każde większe miasto w Ameryce. Pytałem się o historię tego domu. Opowiadano mi, że Amerykanie z zasady nie pozwolą nikomu zginać z głodu zakładają tedy takie fundacye i dawają przytułek opuszczonym osobom aż do śmierci. Rozumie się, wielkiej wygody tam niema, ale żyć można.

Angielski misyonarz chodził od łoża do łoża, od osoby do osoby i zagajał religijną rozmowę po angielsku, rozdawał traktaty, nowe testamenty i t. d. Ja zaś rozmawiałem z Niemcami, z Czechami, Polakami, Słowakami, a nawet jednego Słoweńca z Krainy spotkałem. Tego dnia nigdy w życiu nie zapomnę. W jednym miejscu znalazłem dwóch Czechów, co z sobą rozmawiali. Obydwa przyszli do Ameryki roku 1864 z ś. p. arcyksięciem Maksymilianem, cesarzem meksykańskim, po śmierci jego nie mieli pieniędzy wrócić do domu i zostali w kraju; jednemu się bardzo dobrze powodziło, lecz drugi dużo doznawszy zawodów w

domu biednych spędzał wieczór żywota. Ciekawą było słuchać, co o kolejach życia swego opowiadali. O kilka kroków od nich ujrzałem na łożu człowieka, który prawie żadnych śladów życia nie objawiał. Leżał jak umarły, a jednak widać było, że żyje. Podszedłem do niego i chciałem zagaić rozmowę. Odezwałem się po angielsku — żadnej odpowiedzi. Po niemiecku — nic! Po czesku — nic! Odezwałem się po polsku! Gdy ten dźwięk usłyszał, otworzył oczy, popatrzył się na mnie, nie pewny, czy śni czy na jawie! Odezwałem się po raz drugi — on się podniósł z pościeli, na twarzy wybladłej wystąpił rumieniec radości i nie zapomnę westchnienia, które się z piersi wydobyło. Był to Polak, wyrobnik, chory; nie umiał tylko po polsku. W domu biednych nikt go nie rozumiał, od 5 miesięcy pobytu swego z nikim ani słowa nie przemówił; dali jeść, to jadł, dali lekarstwo, przyjął, a zresztą cały czas spędził w tęsknocie i niemej rezygnacji. Można sobie wyobrazić, jakiego uczucia doznał, gdy po tak długim czasie dźwięk ojczyściej mowy i słowo religijnej pociechy usłyszał! Po południu mieliśmy nabożeństwo w sali zakładu; ja mówiłem po niemiecku, towarzysz mój po angielsku, a pewien szwedzki misyonarz po szwedzku. Anglik wzruszony sceną, którą widział, nawiązał myśl przemówienia swego do dziejów A. 8, 25. Filip kazał słowo Boże z wielkiem błogosławieństwem w miastach Samaryi. Lecz Duch Pański wysłał go na drogę ku południowi, gdzie jedna dusza, komornik królowej Kandaces, potrzebowała oświecenia. Tak, powiada, i mnie z daleka przyprowadził Pan, od wielkiego zboru i ludu, abym jednemu stęsknionemu sercu podał w tym domu słowo pocieszenia.

Dnia 15. czerwca miałem w sali Zakładu Moody'ego przed dosyć licznem zebraniem młodzieży wykład o losach ewangelickiego kościoła w Austrii w czasach przeszłych i obecnych. Mówiłem po angielsku, rozumie się, po gruntownem przygotowaniu. Musiałem dobre wywrzeć wrażenie na słuchaczów, bo jeden z obecnych przyszedłszy do mnie szczerze mię uściśnął, zapewniając, że już dawno nie został tak wzruszony, jak mojem przemówieniem. „Szkoda że Pan nie jesteś Amerykaninem“, odzwał się do mnie; „cały kraj od Nowego Yorku aż po St. Francisco stałby ci otworem“.

Po południu tegóż dnia spojrzałem do półki, w której składano nadchodzące listy, i znalazłem list adresowany do mnie, bez marki, oczywiście na miejscu oddany. W załączeniu były 2 amerykańskie dolary. List napisany po angielsku brzmiał jak następuje:

„Żeński oddział Biblijnego Zakładu w Chicago, dnia
15. czerwca 1893.

Szanowny Doktorze.

Dziś rano słuchałyśmy wdzięcznych słów Pańskich; a gdyśmy słuchały, pałało serce nasze w nas życzliwością dla onego ludu w Pańskiej ojczyźnie, który dla sprawiedliwości prześladowanie znosił.

Przyjmij Pan zapewnienie, że nasze modły i nasza życzliwość pójdą z Tobą na pole pracy, na którem Cię Pan postanowił.

Zechciej przyjąć załączoną sumkę i użyj jej na cele chwały Bożej w Austrii.

Jedna z ór króla niebieskiego.“

List i dar mocno mię rozczerlił, jedno i drugie z serca pochodziło. Dwa dolary mają wartość blisko 5 złr., co na uczennicę szkoły, oczywiście nie bogatą, dużo znaczy. Pieniądze obróciłem na cele budowy ewangelickiego kościoła w Trzyńcu i oddałem razem z uzbieraną składką tamtejszemu kuratorowi zboru. Niech wiedzą Trzyńczanie, że przynajmniej na cząstce zebranych dla nich pieniędzy modlitwa i błogosławieństwo dawców odpoczywa. Nie wiedząc, komu podziękować, napisałem list do pani Capron, przełożonej Żeńskiego oddziału szkoły, i prosiłem, aby mojem imieniem za dar i życzliwość podziękowała; oraz obiecałem, powróciwszy do domu ogłosić drukiem serdeczne słowa listu, aby w niejednem miejscu stały się zachętą. Z tego przyrzeczenia się niniejszem wywiązuję.

Co do tygodni spędzonych w Zakładzie Moody'ego w Chicago, to takowe do najpiękniejszych chwil życia mego zaliczam. Nikt mię fałszywie nieposądzał, nikt nie potwarzał, nikt krzywym okiem na mnie nie spojrział. Nikt mi za złe nie poczytał, że polskim językiem dla ewangelickiego ludu pracuję. Byłem bratem między bracią i czułem, jak błogo się żyje w takim gronie chrześcian, gdzie się wszyscy stosują do zasady, że „Jeden jest mistrz wasz, Chrystus; ale wyście wszyscy braćmi!” Mat. 23. 8.

Troski o potrzeby życia najmniejszej nie miałem. Dali mi piękny pokój na pierwszym piętrze na mieszkanie, wyznaczyli jedno z honorowych miejsc przy stole w sali jadalnej między profesorami szkoły i pastorami zaproszonymi na nabożeństwa podczas wystawy. Zasiadałem do nakrytego stołu, a nie potrzebowałem się pytać, z kąd się te potrawy

wzięły, ile kosztują, czy też dla wszystkich wystarczy? Mieszkanie i stół były bezpłatnie — a to jaki stół!

Na śniadanie podawano najprzód „porridge;“ jest to potrawa szkocka, z czystej pogańskiej kaszy, ugotowanej w mleku. Zaprawiona cukrem i śmietaną wyśmienicie smakuje. Potem następowała mięsna potrawa, albo ryba pieczona albo pieczeń z wołowego mięsa z ziemniakami, a porcy tak ogromne, że nie mogłem pojąć, jak je zjeść. Z początku nie mogłem im podolać, lecz się wkrótce przyzwyczaiłem. Amerykanie mają doskonały apetyt. Kto chciał, mógł jeszcze drugą porcję otrzymać. Po pieczeniu następowała kawa, herbata lub kakao, do wyboru, a do tego bieluteńki amerykański chleb z masłem. Kto chciał, mógł jeszcze mieć jajko gotowane na miękko.

Na obiad mieliśmy rosół we filiżankach z pewnym rodzajem sucharków, który w Ameryce „cracker“ nazywają. Następnie pieczeń, bo gotowanego mięsa wołowego w Anglii i Ameryce nie jedzą. Do pieczenia były ziemniaki, sałata lub coś podobnego. Potem był jaki delikatny „pudding“, t. j. legumina według amerykańskiej kuchni. Zatem przynoszono kawę, herbatę lub kakao, do wyboru, chleb zaś i masło było na stole, a w końcu podawano owoce amerykańskie, pomarańcze, banany, winogrona i t. d.

Wieczór dawano najprzód śliczne duże amerykańskie poziomki, które o tym czasie gdzieś z daleka sprowadzano. Amerykanie jedli je z cukrem i śmietaną. Potem podawano pieczeń z ziemniakami, następnie kawę, herbatę lub kakao, a w końcu niekiedy jeszcze jakie inne przysmaki. Do picia mieliśmy wodę; w religijnych kołach Ameryki upajających trunków nigdzie nie ujrzysz. Tam pastor do gospody nie

wstąpi, boby go opinia publiczna potępiła; a gdyby sobie zasiadł w kawiarni i chciał n. p. w karty zagrać, to na przyszły dzień może brać swoje rzeczy a iść, gdzie chce. Pastorem już więcej być nie może, ani gdzie jest ani gdzie indziej, bo go żaden zbór nie wybierze. Tam od duchownych wymagają wzorowego zachowania się. Wstąpiłem do kancelaryi pastora Hyde i ujrzałem „bycicle“ stojące przy stole. Zdumiałem się, czy mu za złe nie poczytają, jeżeli na „kole“ jeździ po mieście! „Nie“, odpowiedział; „dla czegoż nie mielibyśmy korzystać z technicznych wynalazków?“ Profesor Torrey na „byciclu“ przyjeżdżał na wykłady. W tem nikt nic niewłaściwego nie upatrywał; lecz gdyby był w gospodzie przy szklance piwa zasiadł, podobno byłyby gazetki niemiłosiernie nań wpadły.

Porządek życia był w Zakładzie następujący. O wpół do siódmej z rana odzywał się dzwonek, dając znak do wstawania. O siódmej wołał na śniadanie do sali jadalnej, gdzie koło pewnych stołów siedzieli profesorowie i goście, a koło innych studenci. O ósmej rano dzwoniono na nabożeństwo do sali, które każdego poranku trwało przez pół godziny. Takowe zaczyna się śpiewem, zatem następuje cicha modlitwa, po niej ustęp z Pisma świętego, a w końcu modlitwy zmagwane z kolei głośno przez jednego i drugiego z obecnych. Od dziesiątej do dwunastej bywały wykłady profesorów lub innych powag naukowych, których znaczny poczet bawił w Zakładzie podczas mojego pobytu. O w pół do pierwszej obiad; wieczrę zaś podawano o wpół do szóstej. O siódmej rozechodziliśmy się na różne strony miasta na nabożeństwo

Co do życia i objawów jego niepomniernie różnią się Stany Zjednoczone od naszych stosunków. Najprzód u nas,

gdzie się obrócimy, wszędzie znajdujemy wojsko. Tam ani w Nowym Yorku ani w Chicago ani jednego żołnierza nie widziałem. W tym ogromnym kraju mają pod broń ledwie kilkadziesiąt tysięcy żołnierza. Werbuja ich za pieniądze, bo „assentu“ nie mają. Gdym opowiadał, co w Europie żołnierz pobiera, śmiali się Amerykanie na całą gębę, bo nikt nie chciał uwierzyć, jakby za kilka krajcarów dziennie można żyć. Czytałem ustawę, jak tam wynagradzają inwalidów, okaleczonych na wojnie. Gdy kto obie nogi, albo obie ręce ub oboje oczu utraci, słowem w zupełności staje się kaleką, pobiera miesięcznie 100 dolarów t. j. 245 złr. wynagrodzenia; w razie śmierci pobiera takowe wdowa lub dzieci aż do pewnego wieku. Kaleka o jednej nodze ma miesięcznie 50 dolarów pensyi i t. d.

Długotrwałych i kosztownych procesów o drobnostki też nie prowadzą. Na takie rzeczy istnieją tak zwani „pokojowi sędziowie“, co drobne sprawy bez długich prawniczych korowodów załatwiają. Strony przez to nie tracą ni czasu ni pieniędzy.

Największa jednak różnica między starym i nowym światem zachodzi co do stanowiska, jakie kobieta w społeczeństwie zajmuje. U nas wszędzie ma pierwszeństwo mężczyzna, a za nim dopiero idzie kobieta. W Ameryce przeciwnie, tam się wszędzie przedniejsze miejsce należy kobiecie! Te są w ogromnem poszanowaniu. W przecięciu mają kobiety wyższe wykształcenie, niż mężczyźni. Przed sądem świadectwo kobiety, jak mi opowiadano, więcej waży niż świadectwo mężczyzny. Gdy na miejscu publicznem lub w jakim towarzystwie siedzi mężczyzna, a naraz wchodzi kobieta, tedy powinien oddać jej uszanowanie przez powstanie,

a gdyby miejsca do siedzenia nie było, natychmiast odstąpić jej swego krzesła. Amerykanin jest w tych zasadach wychowany, jest tym taktem tak dalece przejęty, iż przeciw niemu nigdy nie uchybi. Sprawa doszła do tego stopnia, iż n. p. na ulicy pierwszej pozdrawia kobieta, a mężczyzna dziękuje, bo pozdrowienie jest prawem a podziękowanie obowiązkiem.

Zrobiłem spostrzeżenie, że w Ameryce nieślubnych dzieci zgoła niema. Byłoby to śliczne świadectwo o moralności mieszkańców. Tymczasem jest to tylko wynikiem obowiązujących praw. Gdy się jaki wypadek zdarzy, musi uwoździel natychmiast uwiedzioną poślubić. Jeżeli tego dobrowolnie nie uczyni, tedy go zaskarżą przed sądem, sędzia zaś, gdy się ze skargi nie może usprawiedliwić, ma prawo zamknąć go do kozy tak długo, aż oświadczy, że gotów się żenić. Choćby się w przyszłości małżonkowie znowu rozstali, to zawsze na małżonku ciąży obowiązek utrzymania żony i dzieci. W tym względzie amerykańskie ustawy nie pobłażają, ale kategorycznie biorą płć kobiecą w obronę. Tam nie można uwieść dziewczyny a potem się z niej wyśmiać.

Pytamy się, zkąd się wzięła ta rycerskość amerykańskich obyczajów? W zupełności powstania jej wytłumaczyć nie umiem, lecz nie mało przyczyniła się ta okoliczność, że w początkach wychodzili do Ameryki tylko mężczyźni, kobiety były tam rzadkością, przez co je tem więcej ceniono. Dziś się stosunki zmieniły; obliczają, że w Nowym Yorku na jednego mężczyznę trzy kobiety przypadają — na innych miejscach jest stosunek pomyślniejszym — lecz jakikolwiek jest, rycerskość amerykańska się nie zmieniła.



XX.

Czas już wspomnieć nieco o wystawie w Chicago. W szczegółowy opis rzeczy nie mogę się wdawać, zamierzam się tylko do niektórych uwag ograniczyć.

Było to dnia 3. sierpnia 1492, z portu miasta Palos w Hiszpanii wypłynęły trzy niewielkie okręty pod dowództwem Krysztofa Kolumba, puszczając się w głąb Atlantyku, aż dnia 12. października przybiły do brzegu wyspy Guanahani, którą odtąd wyspą Wybawiciela, St. Salvador nazwano. Od tego czasu upłynęło lat 400; z kraju dzikiego stała się Ameryka krajem ucywilizowanym. Stany Zjednoczone postanowiły obchodzić 400-letni jubileusz odkrycia Ameryki urządzeniem wielkiej wystawy światowej w Chicago, która się tam w minionym roku odbyła. Byłem na niej razy sześć i miałem sposobność powziąć pewne wyobrażenie.

Wystawę urządzono w parku Jackson'a, w dosyć znacznej odległości od środka miasta, w miejscu jakby stworzonym na ten cel. Nad brzegiem jeziora Michigan rozciąga się prześliczna płaszczyna, otoczona letnimi pałacami i parkami, a wśród niej nad samym brzegiem jeziora wznosiły się wspaniałe budowle wystawy na nie szerokiej lecz długiej przestrzeni, obejmującej 633 akrów ziemi t. j. koło 600 morgów naszej miary. Ztąd można powziąć wyobrażenie o rozmiarach wystawy. Idąc wolno przez pawilony trzeba było kilka godzin kroczyć, nim się z jednego końca na drugi doszło, a tak samo znowu na powrót. Ja się każdego razu tak czułem zmęczonym, że jeszcze na drugi dzień ledwie się na nogach utrzymać potrafiłem. Gdy sobie wyobrazisz, że na każdym kroku się nowe dziwy przed zdumionem okiem

otwierają, aż w końcu widziałeś tyle rzeczy, iż ich w pamięci zachować nie możesz, tedy łatwo pojmiesz, iż oglądanie takiej wystawy jest ciężką pracą a nie przyjemnością. Kto miał sposobność spędzić na wystawie przynajmniej jeden miesiąc, a szczegółowo nad wszystkimi rzeczami się zastanawiał, mógł powziąć wyobrażenie o historii narodów i postępie cywilizacji na całej ziemi.

Na jeziorze w pobliżu brzegu stał na kotwicach ogromny, amerykański okręt wojenny, na którym się równie jak na morzu regularna służba odbywała. Tam można było widzieć urządzenie wewnętrzne okrętu i cały porządek życia marynarskiego, do czego nie łatwo znajdziesz sposobność. Taki okręt wygląda jak ruchoma po morzu pływająca forteca, z piętrami i wieżami, zbrojna w armaty różnego kalibru, które na wszystkie strony szerzą śmierć i zniszczenie. Wiele dnia dzisiejszego zrobiono wynalazków dla zabijania ludzi, ale nigdzie tych morderczych narzędzi nie znajdziesz tyle nagromadzonych, jak na okrętach wojennych. Co do formy różni się okręt wojenny od towarowego; ten ostatni jest długi i wązki, w pewnym względzie postacią podobny do ryby, wojenne zaś okręty wyglądają prawie okrągłe, jakby twierdze pływające po morzu.

Liczba większych budynków na placu wystawy wynosiła 32, z których n. p. pałac dla przemysłowych wyrobów zajmował przestrzeń 23 morgów ziemi. Tam znajdowały się wyroby wszystkich cywilizowanych krajów. Z upodobaniem oglądałem fabrykaty Austrii, Włoch, Francji, Niemiec i innych państw Europy i Ameryki. Dach tego ogromnego gmachu, zbudowany z żelaza i szkła nie miał wewnątrz żadnej podpory, tylko na murach pałacu spoczywał. Co

więcej, urządzono na nim miejsce przechadzki dla gości wystawy, którzy po windach dostawali się na szczyt pałacu, z kądem mieli widok na całą wystawę, na wielką część miasta i na liczne okręty pływające po jeziorze Michigan.

Ile tam mniejszych pawilonów było, nie umię powiedzieć, lecz przypuszczam, że doliczywszy część wystawy zwaną Midway Plaisance naliczyłbyś daleko więcej niż 200. Najprzód każde państwo Stanów Zjednoczonych miało swój osobny pałac, w którym uwidocznione było bogactwo kraju, tak co do rolnictwa jak co do skarbów podziemnych, węgla kamiennego i złota, srebra i innych rzeczy. Nad innymi górował w tym względzie pałac Kalifornii tak wielkością rozmiarów jak obfitością bogactwa. W środku stał wysoki słup obłożony aż do wierzchu ślicznemi pomarańczami a na wierzchołku wznosił się orzeł amerykański. Obok słupa był posąg pewnego wyrobnika, który roku 1848 kopiąc ziemię pierwszy w niej znalazł sztukę szczerzego złota, co zwabiło do kraju mnóstwo awanturników, szukających bogactw kopaniem złota. Dziś te skarby się przersedziły, tylko tu i ówdzie szukają jeszcze złota w piaskach i mieliźnie niektórych rzek; armia kopiących rozpięchła się, jedni poszli do innych okolic Ameryki, inni do Australii, a znaczna część szuka dyamentów w południowych okolicach Afryki. Miejsce tych ludzi zajął pracowity rolnik, co z nadzwyczaj urodzajnej ziemi inne skarby wydobywa. Kalifornia jest dziś pierwszym krajem wśród amerykańskiej Unii. Tamtejsze zboże, bydło, owoce i wino słyną w całej Ameryce, a po części nawet na europejskie targi przybywają. Nadzwyczaj łagodny klimat wabi chorujących, co dla ratowania zdrowia surową zimę amerykańską spędzają w Kalifornii.

Tak pustynia i gąszcz przemieniły się wskutek pracy rolnika na istny ogród kraju.

Oprócz wymienionych zasługują na szczególniejszą wzmiankę następujące pałace.

1. Pałac sztuk pięknych. Były tam obrazy i rzeźby mistrzów amerykańskich i europejskich. Niektóre bardzo piękne, lecz w porównaniu do muzeów europejskich można śmiało rzec, że co do sztuk pięknych nie może się Ameryka równać z Europą.

2. Pałac wyrobów pracy kobiecej. Tam się znajdowało, co przez kobiety w jakiegokolwiek gałęzi pracy zrobione zostało. Obok wyrobów sztuki kuchennej wisiały obrazy, rzeźby; obok prześlicznych haftów i robót koronkowych były rękopisy poezyi, dzieła treści filozoficznej, teologicznej, naukowej i t. d.

3. Pałac rybołówstwa. Tam były szkielety lub sztuczne imitacje wszystkich zwierząt wodnych, poczynsży od wieloryba aż do różnorodnych raków morskich, wszystkie w naturalnej wielkości. Oraz wyobrażoną była praca rybaka poczynsży od Eskimosa w skórzanej łodzi polującego na fokę aż do sztucznego przerabiania tłuszczu złowionego wieloryba.

4. Pałac narzędzi przewozowych. Przedstawione były wszystkie sposoby, jakimi się człowiek z jednego miejsca na drugie dostanie tak na lądzie jak na wodzie i w powietrzu. Tu wśród łodów pędził Eskimo sankami, które ciągnęły psy, tam książę indyjski przewoził swe żony w welonach, siedzące w wieży na grzbiecie słonia. Tu stała kareta najnowszego systemu, a przed nią dwa śliczne siwosze w uprzęży; tam pociąg salonowy fabryki Pullmana jakby szereg przepysznych pałacyków jadących na kołach. Tu

widzisz Indianina płynącego rzeką na niezgrabnie wyciosanem kanoe, tam zaś stoi okręt najnowszej konstrukcyi, który przedstawia wartość czterech lub pięciu milionów złr. Wszystkie zaś te rzeczy, z jakiejś sztucznej masy zrobione, wyglądały tak naturalnie, że nie można było od razu rozeznaczyć to człowiek albo czy figura, czy to koń albo czy imitacya.

5. Pałac dla rolnictwa. Widziałem tam najrozmaitsze ziemiopłody i owoce pracy rolniczej, jako też maszyny rolnicze najcudowniejszej konstrukcyi. Znam się nieco na pracy rolnika, lecz gdyby się mię kto zapytał, do czego ta lub owa maszyna posłużyć powinna, nie byłbym w stanie dać odpowiedzi. Amerykanin ma prawie na każdą robotę jakąś osobną maszynę. W tym oddziale widziałem dużo amerykańskich farmerów, oglądających rozliczne nasiona i próbujących rozmaitych maszyn.

6. Pałac dla sadownictwa. Były tam kwiaty i owoce rozlicznych gatunków.

7. Pałac machin parowych. Był to ogromny gmach, a gdy wszystkie tam stojące maszyny wielkie i małe weszły w ruch, tedy się zdawało, że człowiek musi oszaleć! Nikt nie pojmie, kto tego nie widział, jak daleko dziś świat w tym względzie postąpił. Stałem w pobliżu jakiejś maszyny do tkania delikatnych wyrobów jedwabnych. W oczach mi się mieniło, gdym widział jak niezliczone nitki najrozmaitszych kolorów jedna koło drugiej się przesuwwały. Stałem przez pięć minut i patrzyłem; widziałem jak za chwilę z tych nici powstała śliczna chustka jedwabna, a na jej tle wytkany obraz wystawy. Kobieta, stojąca nad maszyną, przesunęła tylko jedno kółko, a nowa chustka przed moimi oczami tkana przedstawiała prześliczny bukiet róż, nieza-

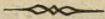
pominajek i innych kwiatów. Gdym się temu przypatrywał, wydawało mi się, że się gdzieś w gmachu jakiegoś zakłętego wróżka znajduję. Niepodobna sobie wyobrazić, że te wszystkie migające obroty kół i kółek takie prześliczne rzeczy zgoła w mgnieniu oka wyrabiają. Widziałem robotę machin na wystawie w Wiedniu, lecz to nie była ani setna część tego, co widziałem w Chicago.

8. Najwięcej zajmującym wydawał mi się pałac elektryki. Ta najnowsza gałęź ludzkich odkryć i wynalazków już dotąd precudne owoce wydała; telegrafy, fonografy, telefony, oświetlenie elektryczne jej zawdzięczamy. Lecz gdym stał w onym pałacu i przypatrywał się wszystkim znanym objawom siły elektrycznej, wydawało mi się, że to dopiero początki jej używania, że duch ludzki jeszcze daleko większe wynalazki poczyni i wszystką fizyczną pracę człowieka a z nią razem wszystkie społeczne stosunki życia przemieni i uregułuje.

Obok wystawy, ale w połączeniu z nią, znajdowała się rozległa przestrzeń nie bardzo szeroka, lecz blisko dwa kilometry długa; nazywali ją Midway Plaisance (Midue Plezenc). Ciekawe było to miejsce; znajdowały się tam prawie wszystkie narody ziemi wyobrażone w ich pracy i życiu. Gdy oglądanie wystawy widza zmęczyło, można się tu było trochę rozerwać. Tam były tureckie meczety, kawiarnie; tam Chińczycy, Japończycy, Murzyni, Ludyanie, Australczycy, mieszkańcy Południowych wysp mieszkali i żyli jak u siebie w domu. Tak nie wyszedłszy z miejsca wystawy można było odbyć podróż koło całej ziemi i oglądać, co każdy kraj i naród na świecie ma najciekawszego. Tam oglądałem świątynie Mahometan, Chińczyków, Japończyków

i najrozmaitszych innych narodów. W tym względzie różniła się wystawa chicagowska od wszystkich poprzednich, bo gości zaznajomiła nie tylko z utworami przemysłu i sztuki, lecz im także dała sposobność obejrzeć świat i mieszkańców jego. Zarząd wystawy nie byłby w stanie o tych wszystkich rzeczach pamiętać i takowe przeprowadzić, uczynili to pojedynczy przedsiębiorcy na własną rękę. Wyjechali do krajów dalekich, przywieźli z tąd ludzi, zbudowali im mieszkania, jakie w domu mają, zaopatrzyli we wszystkie potrzeby a po ukończeniu wystawy zapłacili według zawartej ugody i znowu ich do domu odwieźli. Celem pokrycia kosztów zezwolił komitet wystawy na ściąganie osobnego wstępnego do takich pojedynczych oddziałów.

Miedzy narodami przedstawionymi na Midway Plaisance brakowało Eskimosów. Pewien przedsiębiorca przeprowadził kolonią kilkunastu osób i osadził ją na miejscu. Za niejaki czas, gdy się powietrze ogrzało, nie mogli się mieszkańcy lodowatych krajów przyzwyczaić do cieplejszego klimatu. Do tego trzeba było siedzieć na pewnem ograniczonym miejscu, zamiast jak w domu na szerokim świecie zażywać swobody. W końcu porwała ich tęsknota za domem, tak iż pewnej nocy wszystko opuściwszy uciekli. Czy się do domu dostali bez grosza, bez chleba, nikt na pewne nie wie.



XXI.

Któż nie czytał lub nie słyszał jeszcze o wodospadach Niagary? Dziwne rzeczy piszą o tych cudach przyrody. W minionym roku miałem sposobność widzieć Niagarę na własne oczy; co więcej, ponieważ dzień był bardzo gorący, kąpałem się w nurtach pewnej odnogi rzeki w miejscu odległem o jakie 300 kroków od głównego spadu.

Zazwyczaj bywa, że sobie wskutek opisów jakąś rzecz przedstawiamy wspanialszą, niż rzeczywiście jest, a mając sposobność oglądać ją na własne oczy jesteśmy nieco rozczarowani. Spodziewaliśmy się czegoś więcej, a znaleźliśmy mniej. Co do Niagary, nie doznałem podobnego zawodu owszem dużo oczekiwałem, ale daleko więcej znalazłem. Miałem sposobność widzieć wodospad Renu pod Schaffhausen, lecz co do wielkości i wspaniałości, nie ma między jednym i drugim ani porównania.

W poniedziałek dnia 19. czerwca 1893 wsiadłem o 2. godzinie po południu w Chicago do pośpiesznego pociągu i pojechałem inną drogą jak przybyłem, na Detroit i Buffalo do Nowego Yorku. Płaszczynami Ameryki pędził pociąg lotem błyskawicy, o 12. godzinie byliśmy w Detroit, o 7. rano nad Niagarą. Na stacyi „Suspension Bridge“ (Sazpenszen Bricz) t. j. „Wiszący most“ zatrzymał się pociąg aż do 5. po południu, aby goście wracający z Chicago mieli sposobność obejrzeć sobie cuda przyrody. Oddawszy swoje rzeczy do zachowania na stacyi poszedłem nad Niagarę.

Kontynent amerykański obfituje w wodę. Wielkie rzeki przerzynają kraj, a w stronach północnych znajdują się liczne jeziora ogromnych rozmiarów. Najprzedniejsze

miejsce zajmują wśród nich Superior, Michigan, Huron, Erie i Ontario. Te są z sobą połączone, tak iż woda jednego płynie do drugiego, a w końcu rzeką Lorenc do Atlantyckiego Oceanu odchodzi. Gdy zważymy, że każde z tych jezior obejmuje przestrzeń niemniejszą niż nasza Austria, tedy poweźmiemy wyobrażenie o wielkości onych wód. Najwyżej położone z tych jezior, Superior, ma ogromny odpływ wody, a przytem prawie żadnego dopływu, bo tylko małe rzeki do niego wpadają. Rzeczy tej nie można inaczej tłumaczyć, jak tylko w ten sposób, że jezioro musi mieć jakieś podziemne źródła i dopływy. Lecz z kąd takowe pochodzą, to jest zagadką dotąd niewybadaną. Z morza pochodzić nie mogą, bo powierzchnia Oceanu jest daleko niższą, a oprócz tego woda jeziora jest słodką, nie gorzką jak w morzu.

Odpływ jeziora Erie do Ontario nazywa się Niagara. Ponieważ Ontario leży daleko niżej, a oba jeziora są prawie jedno przy drugim, tedy spad wcdy musi być ogromny. Z Erie płynie woda najprzód powoli strumieniem na jakieś półmili szerokim, czysta i przezroczysta, tak że na dnie każdy kamyk rozeznąć można. Naraz ścieśnia się łóżysko, grunt się obniża, a wskutek tego prąd ogromną siłą pędzi naprzód. Doszedłszy do kataraktu zupełnie prostopadle leci w przepaść. Ztąd zaś wazkiem i bardzo pochyłym korytem pędzi na dół wałami, które się nawzajem przerzucają i łamią jak wały morza, gdy je wśród burzy wicher przewraca, aż w końcu doszedłszy na płaszczyznę wolniejszą i szerokiem łóżyiskiem płyną do Ontario. Na każdym miejscu przedstawiają wody czarujący widok. Zajmującą jest patrzeć, jak się przed spadem ścieśniają i pędzą; nie mniej zajmu-

jącą, jak po upadku tocząc się ciasnem korytem z szumem i łoskotem na dół uciekają. Jedynym jednak w swoim rodzaju jest widok kataraktu samego.

Wyobraź sobie, kochany czytelniku, naszą Olzę podczas powodzi, jakąśmy mieli tej wiosny. Pomyśl sobie, żeby się naraz rozszerzyła tak, iżby płynęła od zamku w Cieszyńie aż po kolej żelazną na Saskiej Kępie, a to tą samą siłą i w równem wezbraniu jak podczas powodzi. Naraz ta masa wody spada prostopadłe w przepaść, a to z takiej wysokości, jakby od zegaru na wieży ewangelickiego kościoła w Cieszyńie na bruk placu kościelnego spadała — w ten czas masz pewne wyobrażenie o rozmiarach i wspaniałości wodospadu Niagary.

Wody spadają na trzech miejscach w szerz rzeki, w jednej i tej samej linii, tak iż wodospad składa się z trzech części. Najgłówniejszą między niemi jest spad zwany „Podkową“, ponieważ brzeg, przez który wody płyną do przepaści, nie jest prosty, lecz w środku wydrążony, przez co staje się podobnym do podkowy. Ten właściwie mają na myśli, gdy o wodospadzie Niagary mówią. Prostopadła linia od brzegu „Podkowy“ aż do dna przepaści wynosi 53 metry, szerokość tej części spadu obliczają na 795 metrów; warstwa wody ma w przecięciu 7 metrów grubości. Tak można obliczyć, jaka masa wody spada przez brzeg skały do głębokości.

Ztąd powstaje nieopisany łoskot i huk, który już w odległości kilku kilometrów daje się słyszeć, w pobliżu zaś jest tak mocny, że własnego słowa nie zrozumiesz. W miejscu, gdzie wody spadają, wre i kipi, jak w rozpalonym kotle; nie widzisz nic, tylko samą pianę, pryskającą tak

wysoko w zgórę, jak woda spada, albo nawet wyżej. Drobnuteńki deszcz pryska na wszystkie strony, a gdy wiatr od wodospadu powonie, przemokniesz na brzegu, choćby słońce jak najpiękniej świeciło. Nad spadem samym wisi ustawicznie chmura gęstej mgły, sięgając wysoko w powietrze. Fantazya widzów chce w niej dopatrzeć linii ludzkiej twarzy, wskutek czego mówią o „mgławej dziewicy“ nad wodą przepaści. Usiłowałem się odszukać jej rysy, lecz mi się nie udało.

Widok Niagary napawa serce przerażeniem, pokorą i podziwem wszechmocności Bożej. Czegoś podobnego nigdzie na całym świecie nie ujrzysz. Niedziw tedy, że dawni Indianie, mieszkający w okolicach Niagary, upatrywali w wodospadzie siedzibę wielkiego ducha, t. j. bożka, któremu służyli. Mgła wisząca nad przepaścią była w oczach ich namiotem pomieszkania jego. Do niego się uciekali w szczęściu i niedoli; jego pomocy wzywali, gdy wychodzili na wojnę; jemu dziękowali, gdy się wyprawa powiodła. Nabożeństwo ich zależało, jak nabożeństwo wszystkich pogan, w oddawaniu ofiar. Bożkowi Niagary nawet ludzi ofiarowali. Każdej jesieni obchodzono wielką uroczystość na jego chwałę, szczepy Indianów mieszkających w okolicy zgromadziły się na brzegu wodospadu, wyprawiano tańce religijne, sprawowano ofiary, zmagowano modlitwy. Naraz od brzegu odbiła łódka, wyciosana z grubej jodły, ozdobna w kwiaty i najlepszymi zaopatrzona owocami. U steru siedziała dziewczica, z kwiatami na skroniach i rozmaitemi klejnotami u ramion i szyi. Gdy prąd porwał łódź, kierowała ją tak, aby do największego spadu zajechała. Nad przepaścią stanąwszy podniosła ręce ku niebu — i z okrętem na wieki przepadła w to-

pieli. Wielki duch przyjął ofiarę narodu i znowu im nadal użył opieki. Tego rodzaju ofiary corocznie składali. Z pomiędzy młodych, pięknych i czystych dziewic narodu obierano losiem, która z okrętem pójdzie do przepaści. Wybrana wiedziała, że idzie na śmierć, lecz się nie lękała, owszem sobie każda za największą cześć pokładała, że bożkowi przywiezie ofiarę.

Przed laty mieszkał nad brzegami Niagary pewien kacyk, czyli naczelnik osady Indyanów; był to człowiek waleczny w boju, lecz miał przytem serce czułe i dobre. Miał tylko jedyne dziecko, córkę prześlicznej urody, którą nadewszystko w świecie miłował. Po śmierci żony nie przebywał z nikim jak z córką, a córka z nikim, jak z ojcem. Czuwał nad nią i pilnował jej jak żrenicy oka swego w głowie. Tych dwoje się ani na chwilę nie rozstało. Nastąpiła jesień, nadchodziło święto Wielkiego ducha. Starsi osady zebrali wszystkie młode dziewczęta pięknej urody i czystych obyczajów, aby obrać, która na uroczystości przywiezie ofiarę bożkowi. Los padł na córkę naczelnika. Acz trudno jej było opuścić ojca osamotnionego, to jednak chętnie przyjęła tę godność ofiarowania się bożkowi. Czułe było pożegnanie między ojcem i dziećciem, lubo naczelnik umiał panować nad sobą, aby najmniejszego wzruszenia nie okazać. W tem, gdy dziewczica wsiadła do okrętu i bieg jego na środek prądu kieruje, z odległego miejsca drugi okręt pędzi i z pierwszym razem połączyć się pragnie. Na nim był naczelnik, ojciec ofiarowanej. Niechciał żyć dłużej bez dziećcia swego. Nad brzegiem przepaści się połączyli, ręce nawzajem sobie podali, a potem wspólnie na chwałę bożka utonęli w głębokości — na wieki. Od tego czasu Indyanie

z istnem nabożeństwem patrzą na Niagarę, gdy się który w te okolice dostanie. W pobliżu bowiem już ich zgoła niema, z wyjątkiem niewielu rodzin, które wiarę chrześcijańską przyjęły i życie koczujące porzuciły.

Pierwszym Europejczykiem, co na własne oczy widział Niagarę, był pewien francuski jezuita, ks. Hennepin, który w tych okolicach pracował jako misyonarz między krajowcami. Dziś napływ turystów jest ogromny, bo też nie ma w świecie wodospadu, podobnego do Niagary. Do niedawna nie było można dostać się z jednego brzegu na drugi, bo wody wyrwały niżej wodospadu takie koryto w ziemi, iż z brzegu patrzysz do rzeki jakby z jakiej wysokiej wieży na ziemię; dziś jednakowóż istnieją już aż trzy wiszące mosty, które łączą jeden brzeg z drugim. Mosty te zbudowane są według tego samego systemu, jak most w Brooklynie, o którym na początku wspomniałem. Po nich przejeżdżają pociągi kolejowe, jadą wozy i przechodzą piesi. Stanąwszy na takim moście szczególniejszego doznawasz uczucia, gdy spojrzysz pod siebie do głębi, gdzie się wały toczą, pędzą i huczą. Łatwoby na ten widok dostać zawrotu głowy. Najnowszy z tych mostów liczy długości od brzegu do brzegu 423 metry i wznosi się o 65 metrów nad powierzchnią wody, przyczem nadmieniam, że się zupełnie na równi z brzegami znajduje. Z tąd można sobie wyobrazić, jak głębokie koryto wody niżej wodospadu wyrwały.

Co do budowy pierwszego z tych wiszących mostów, to opowiadają, że najprzód po jednej i drugiej stronie zbudowano w ziemi mocne, kamienne filary, przez które chciano przeciągnąć a za pomocą skał w ziemi przymocować grube żelazne liny trzymające most. Zaczęto rzecz w ten sposób, iż

puszczono w powietrze draka z papieru, jakimi się chłopcy w jesieni bawią i tak połączono oba brzegi najprzód prostym „szpagatem“, a za jego pomocą przeciągniono najprzód sznury, potem powrozy, a w końcu łańcuchy. Tak z małych początków powstały wielkie rzeczy.

Na oglądaniu Niagary spędziłem prawie cały dzień bo od 8. godziny rano aż do 4. po południu. Potem po-
krzepiwszy się trochę w pewnej restauracyi wróciłem na stacyę i o piątej godzinie wsiadłszy do powozu pojechałem w strony Nowego Yorku, gdzie stanąłem następnego poranku o godzinie dziewiątej.

XXII.

Nowym Yorku bawiłem przez dwa dni, czekając na odejście okrętu „Trave“. W tym czasie odwiedziłem kilka osób, do których miałem polecenie z Chicago, i oraz trochę amerykańskich upałów skosztowałem. Gorąco już było w Chicago, lecz daleko więcej w Nowym Yorku. We dnie i w nocy byłem jak w łaźni, pot się strumieniami lał po całym ciele. Powietrze było jakieś wilgotne i gorące, i wszelką siłę do pracy osłabiało. U nas tylko przed burzą bywa tak ciężko i duszno.

W piątek wieczór, dnia 23. czerwca, udałem się na okręt i zająłem miejsce dla mnie przeznaczone. Położyłem się spać, lecz nie mogłem zasnąć, bo przez całą noc ustawiczny panował ruch. Do wnętrza okrętu składano towary i kufry podróżnych, ludzie chodzili tam i sam, na pokładzie gwar i stukanie nie ustawało. Koło trzeciej rano nastąpiła

cisza. O piątej godzinie stali wszyscy podróżni ubrani na pokładzie, po raz ostatni patrząc na miasto, co ślicznem półkołem, olśnione promieniami porannego słońca przed nami leżało. O szóstej godzinie zagrała muzyka okrętowa, odezwały się trąby, stuknęły maszyny i Trawa powoli odbiła od brzegu.

Płynęliśmy wśród portu wolnym biegiem obok niezliczonych łódek i łodzi, mijaliśmy okręty, pałace, przedmieścia, wysepki i wyspy; pozostawiliśmy za sobą wspaniałą posąg bogini wolności, który stoi w morzu u wejścia do portu a w nocy służy za latarnię morską, i coraz szybszym biegiem pędziliśmy na przestrzenie Atlantyku. Podróżni wszyscy stali na pokładzie, patrząc na miasto znikające w dali; na każdej twarzy malowało się wzruszenie, nie jedno oko zalało się łzami, ręce się wyciągały i wargi drżały, jakby czy głośno czy pocichu wołając: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany! Bywaj nam zdrową, piękna Ameryko!“ Jedni opuszczali kraj na krótki czas, idąc w pewnych celach do Europy, drudzy żegnali na zawsze, wracając do domu; lecz czy na krótko czy długo lub na zawsze wychodzili, ani jednej twarzy bez wzruszenia nie widziałem. Niektórzy zostawili w Ameryce rodziny swoje, inni może tylko swych znajomych, lecz każdemu trudnem było pożegnanie, bo jazda przez morze nigdy nie jest fraszką. Człowiek wie, że odjeżdża, lecz możeż wiedzieć, czy do celu dojdzie? Dno morza jest posiane szczątkami rozbitych okrętów, a niejednen podróżny znalazł niespodzianie w topieli swój grób. Moje serce dwojakiem odzywało się uczuciem, radością i żalem; radością, bo się wybierałem w drogę do swoich, bom uczynił, com tylko w danych stosunkach był w

stanie uczynić, i spokojnie, spełniwszy zadanie wracałem do domu, za którym mię często w ostatnich tygodniach porywała tęsknota; lecz byłem także żalem rozrzewniony, gdym pomyślał, że nigdy podobno pięknej Ameryki więcej nie oglądam. Piękne w tym kraju chwile spędziłem, dużo zajmujących widziałem rzeczy; przekonałem się, że tam przy pracy Pan Bóg człowiekowi obfity chleb dawa. Rozrzewnienie moje było poniekąd uczuciem wdzięczności w obec kraju i zacnych osób chrześcijańskich, z którymi się zaznajomiłem.

Wśród podobnych uczuć upływały chwile, aż nam zniknął z oczu brzeg amerykański. Jeszcze jedna maleńka wysepka się pokazała; jest to raczej skała stercząca z morza, nie większej powierzchni, niż rynek miasta Cieszyna. Na niej znajdują się daleko od lądu same szpitale dla chorych na zaraźliwe choroby. Nie wiem kiedy te szpitale sfundowano, lecz podczas grasowania cholery w Hamburgu musiały tam wszystkie europejskie okręty się zatrzymywać a chorych i podejrzanych oddawano do szpitala, by zarazy na ziemię amerykańską nie przynieśli. Smutną jest zawsze musieć być w szpitalu, ale smutniejszym niż gdziekolwiek indziej musi być pobyt tam na onem miejscu. Jak daleko oko sięga w stronę wszystkich wiatrów, ani jednego krzaku ani jednej trawki nie ujrzy; nie widzi nic oprócz wałów morskich, które raz spokojnie się toczą, a znów jakby wściekle ze strasznym łoskotem o mury szpitalu uderzają. Chorzy widzą przed sobą otwartą otchłań Oceanu, jakby grób bezdenny, w który ich wrzuca, skoro ostatnie tchnienie wydadzą. Lecz nie mniej okropnym musi być pobyt dla zdrowych, co tam mieszkają dla opieki chorych. Któż może po-

wiedzieć, czy sami nie będą ofiarą zarazy? Nie małego trzeba na to zaparcia siebie, a jedynie miłość Jezusowa jest w stanie przysposobić człowieka do takowego.

Okręt „Trave“ płynął szybko i spokojnie, lubo nieco wolniej niż Havel, którym płynąłem do Ameryki. Z powrotem jechałem dziesięć dni i nocy. Towarzystwo podróży było wcale przyjemne; mieszkąłem razem z pewnym młodym „herrnhutem“, amerykańnikiem, którego rodzice wyprawiali na dwa lata na konserwatorium do Berlina, aby się tam wydoskonalił w muzyce. Pytałem się, dla czego nie idzie do szkół muzyki w Nowym Yorku lub Chicago, o których słyszałem, że z europejskimi stoją na równi. Odpowiedział, że w Ameryce mają lepszą opinią i lepsze wzięcie ci ludzie, którzy się w jakiejkolwiek gałęzi nauki na europejskich szkołach kształcili. To ma się w szczególności odnosić do lekarzy. Amerykanom nie brakuje patriotyzmu; wspierają najchętniej, co swoje, lecz w pewnych rzeczach przyznawają obcym pierwszeństwo, mianowicie co do nauk. Z tego powodu wysyłają swych synów do szkół europejskich celem uzupełnienia nauki.

O dziesiątej godzinie przed południem zniknęły z oczu naszych wszelkie ślady lądu, byliśmy już na otwartym morzu. Powierzchnia jego była spokojną, słońce ślicznie świeciło. Wszystkie oznaki zwiastowały przyjemną jazdę, na którąśmy się serdecznie cieszyli, tem więcej, ponieważ podczas podróży do Ameryki pogoda nie sprzyjała. Niestety, oczekiwania nasze nie ziściły się, mieliśmy podróż bardzo burzliwą i nieprzyjemną, daleko więcej niż w drodze do Ameryki.

Po południu znajdowała się prawie cała załoga na pokładzie, grzejąc się w słońcu, bo na morzu nie ma takich

upałów jak na lądzie; tam zgoła zawsze chłodne powietrze przewiewa. Około czwartej godziny pojawiły się na wschodzie niewielkie chmurki, jakby zarysy mgły w oddaleniu; powoli jednak rosły i rozpowszechniały się osłabiając promienie słońca. Morze dotąd spokojne poczęło się ruszać, w oddaleniu podnosiły się niewielkie wały a na nich białe czubki się pojawiały. Jest to zawsze niechybny znak nadchodzącego wzburzenia na morzu. Czubki te powstają wskutek silniejszego wstrząśnienia wody, przez co sól morska białą pianą na powierzchni się rozlewa. Około piątej godziny już wody należycie okrętem trzęsły i kołysały, podróżni zaczęli blednąć i odległych szukać kątów — oznaki choroby morskiej się pojawiały. Pod wieczór pozamykali majtkowie szczelnie wszystkie otwory na okręcie, nie ulegało wątpliwości, że ogromne wzburzenie nastąpi. O siódmej godzinie musieli wszyscy ustąpić z pokładu, bo wały już ponad okręt przelatywały. Piszą i mówią o ryku i wyciu morza, jakby było jaką straszną, wściekłą bestyą. Nie mogłem sobie wyobrazić, jakby morze ryczało, lecz się o tem sam na własne uszy przekonałem. Już wieczór wrzały wody i kipiały, wydawając tak przeraźliwy huk, jakby tysiące wściekłych bestyi w największej zajadliwości wyło i ryczało. Huk ten serce przekrusza i trwogą napawa. W obec walki rozhlukanych żywiołów wszystko znaczenie człowieka maleje i znika. Wyobraź sobie, kochany czytelniku, wielkie naczynie rozpalone, pełne wrzącej wody. Gdy woda wre i kipi, gdy na powierzchni wznoszą się bańki pryskając w powietrzu, tak że wrzące krople na wszystkie strony lecą, w ten czas weźmij małeńki kawałeczek drzewa, nie większy niż zwyczajna zapałka, a rzuć go do waru. Nie utonie

wprawdzie, lecz woda wzruszona na wszystkie strony miotać nim będzie; raz go wzgórzę wzniesie, raz porwie do głębi, raz prosto postawi a znowu w bok skęci i każdej chwili inaczej obróci! Oto masz obraz wzburzonego morza, na którem wśród burzy znajduje się okręt. To samo wrzenie, to samo pryskanie, te same ruchy, ten sam wściekły ustawiczny taniec, tylko że woda kipiąca jest zimną! Wały wyskające uderzają o ściany okrętu, jakby je pokruszyć chciały, to znowu lecą prostopadle wzgórzę, wysoko w powietrze, a naraz ogromnym impetem spadając biją o pokład okrętu, aż trzeszczy, jakby się załamać miał! Okręt nachyla się to na jedną to na drugą stronę; to idzie wzgórzę, jakby stawał dęba, to znowu spada, jakby w głębi przepaści został pogrzebany. Takie rzucanie trwa pół dnia, trwa dzień cały, trwa dni kilkanaście.

Można sobie wyobrazić położenie ludzi, znajdujących się w wnętrznościach okrętu. Na wierzch nie może wystąpić nikt, bo najprzód choroba morska wszystkie siły złamała, po wtóre nikt nie jest w stanie wśród tak wściekłego kołysania na nogach się utrzymać; lada ruch okrętu może człowiekiem uderzyć o ścianę i rozbić mu głowę, a gdyby w końcu na pokład się dostał, tedy mimo najmocniejszego trzymania się porwą go wały i rzuca w morze, jak silny prąd wody listek unosi. Wewnątrz okrętu nie można rozeznąć, czy jest dzień czy noc. Przez grube szkła w lukach, które szczelnie mocnymi żelaznymi śrubami zamknięto, widzisz tylko pianę ryczących bałwanów; nie rozeznasz, czy słońce świeci, czy deszcze leją. We dnie i w nocy pali się światło; dawniej zapalano lampy z naftą, dziś za jednym dotknięciem palca strumienie elektrycznego światła wszystkie części

okreću oświecają. Jakie gorąco wewnątrz okreću panuje, gdy burza dłuższy czas potrwa, opisać nie podobna. Świeże powietrze nie ma przystępu, bo wszystkie otwory są szczelnie zamknięte. Wewnątrz okreću pali się ogień, utrzymujący maszyny w ruchu; kucharze gotują potrawy, na które nikt nawet okiem nie spojrzy, podróżni kurczą się w konwulzyach choroby i womituja — jednym słowem piekielna atmosfera! W tem położeniu byliśmy od soboty aż do wtorku bez przerwy! Na pościeli przywiązałem się pasem do łoża, abym nie wypadł na podłogę. Leżąc na wznak znajdowałem się raz wysoko nad wodą, to znowu gdzieś w głębokościach byłem pogrzebany; raz stałem na nogach na ścianie okreću, to znowu z drugiej strony na głowie stanałem. Od uderzania o ścianę łoża ciemię mię bolało, przeto włożyłem swą torbę pod głowę i oparłem się o nią ramieniem, abym się zatrzymał i głowę nie bił o ścianę! A jakie męczarnie wskutek morskiej choroby przechodziłem: opisać nie zdołam. Kilka razy już to cierpienie przebyłem, lecz tym razem najmocniej, bo też szalona była to burza, która nami dnia 24—26. czerwca ustawicznie miotła. Wymioty i kurcze były tak ogromne, że zimny pot na mnie bił i myślałem, że wszystkie wnętrzności wyrzucę. Przez dwa tygodnie czułem ból w okolicy żołądka wskutek konwulyjnych wymiotów. Tej jazdy morskiej nigdy nie zapomnę. A jak ja, tak wszyscy moi towarzysze podróży cierpieli.

We wtorek dnia 27. czerwca uspokoiło się morze, lecz gęste chmury zalegały niebo i deszcze padały aż do piątku. Odtąd nastąpiła pogoda. Okreću płynął spokojnie po fali, coraz bliżej Europy. W sobotę po południu pokazały się brzegi Irlandyi, w niedzielę po południu stanęliśmy w Southampton,

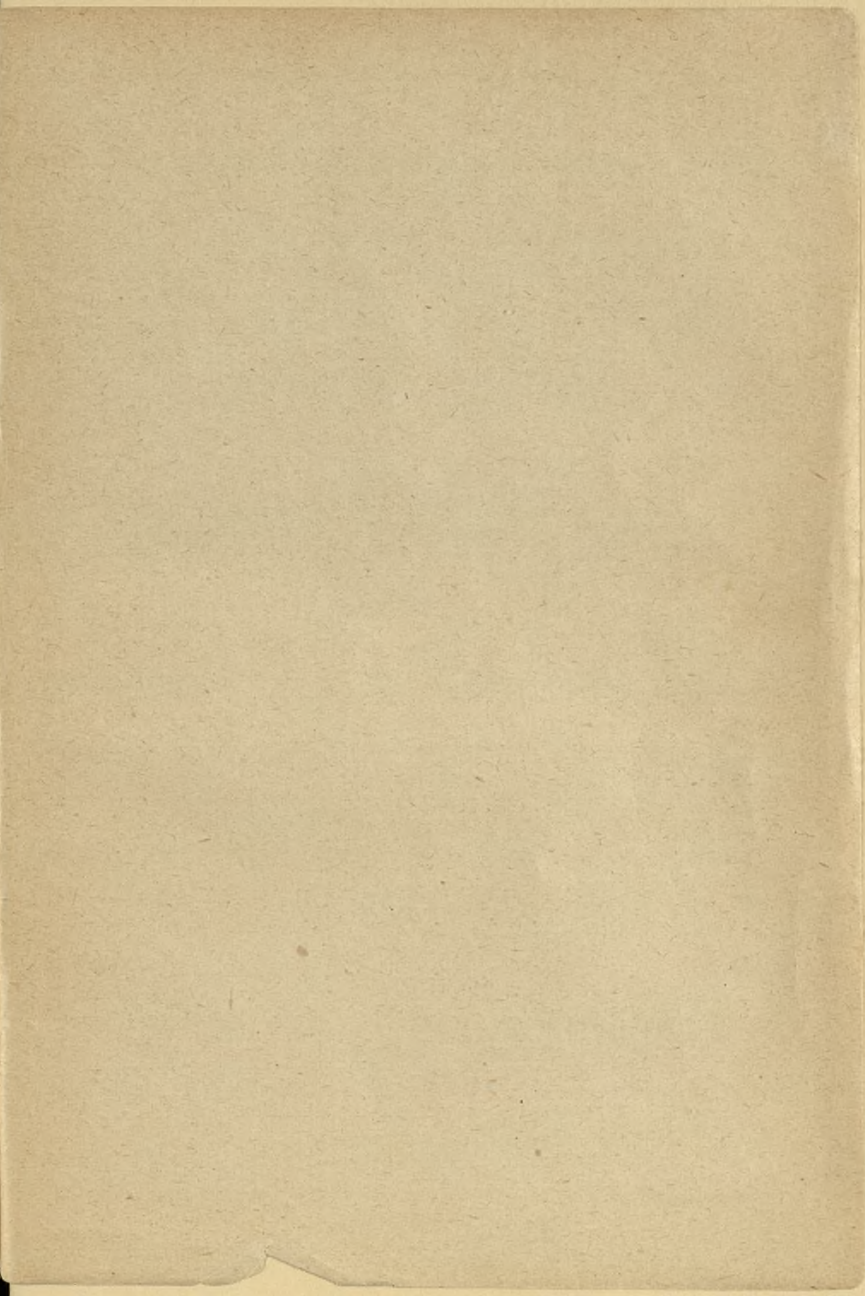
wieczorem płynęliśmy przez cieśninę morską zwaną Calais. Noc była spokojna i jasna, na brzegach Anglii paliły się latarnie morskie, a z dala po prawej ręce migotały światła dochodzące z brzegów Francyi. W poniedziałek dnia 3. lipca wieczór o 7. godzinie stanęliśmy na ziemi europejskiej w Bremerhaven. Dziwnego uczucia doznaje człowiek, gdy po tak długiej podróży stanie znowu na brzegu własnego kontynentu! W ten czas odczuje, co wyraża psalmista, mówiąc: „Wysławiajcie Pana, albowiem dobry; albowiem na wieki miłosierdzie jego. — Którzy się pławią na morzu w okrętach, widują sprawy Pańskie i dziwy jego na głębi. Bywają miotani, a potaczają się jako pijany, a wszystka umiejętność ich niszczeje. Gdy wołają do Pana w utrapieniu swoim, z ucisków ich wybawia ich. Obraca burzę w ciszę, tak że umilkną nawałności ich. Niechże wysławiają przed Panem miłosierdzie jego.“ Ps. 107.

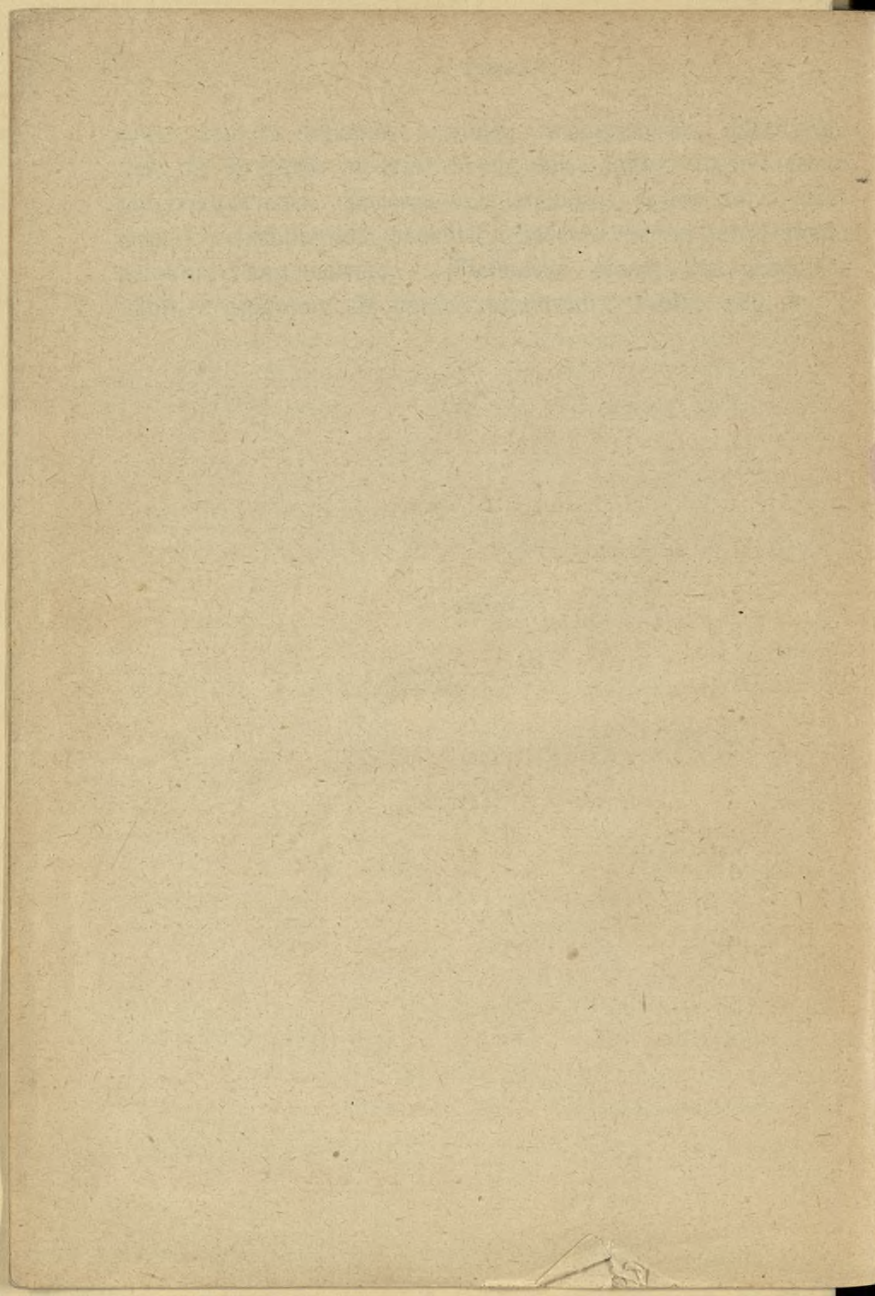
Ztąd pojechałem wprost do domu, gdzie przybyłem dnia 5. lipca. W Boguminie nad miarę się ucieszyłem znalazłszy oprócz żony swojej grono przyjaciół i przyjaciółek, którzy mi życzliwość swą tem okazali, iż osobiście na me powitanie do Bogumina przybyli. Za ten dowód przyjaźni jeszcze im raz wszystkim na tem miejscu serdecznie dziękuję. Dziękuję także tym wszystkim życzliwym sercom, które o mnie prawie każdy dzień w modlitwach swoich przed Bogiem pamiętały.

Czy moja praca w Ameryce jakie owoce wydała, nie do mnie należy ocenić. Odzywają się ztąd pojedyncze głosy o książki religijne w polskim języku. Ile zaś ja sam osobiście z tej wycieczki umysłowo korzystałem, a to korzystałem tak dla siebie jak dla pracy mojej w winnicy Chrystu-

sowej, sam to najlepiej z wielką wdzięcznością odczuwam. Cała ta wyprawa wydaje mi się dziś, jakby to był sen a nie rzeczywistość. Kończąc opis niniejszy, czynię to z uczuciem i westchnieniem psalmisty, który w radości serca swego dziękuje Panu mówiąc: „Wielmożne rzeczy Pan uczynił z nami, z czegośmy się bardzo uradowali.“ Psalm 126, 3.







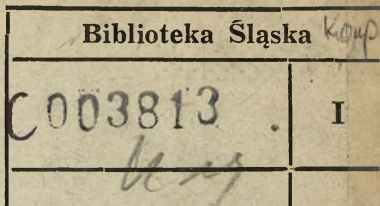
20. **Turcy pod Wiedniem.** Opowiadanie historyczne z czasów oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683.
21. **Piękna Magelona** i hrabia Piotr z Prowansyi z srebrnymi kluczami.
22. **Historya o siedmiu mędrcach.** Bardzo zajmująca i powabna powieść dla młodych i starych.
23. **Robert Djabel.** Nietylko straszna, ale także zabawna i pouczająca powiastka z przeszłości. Podług starych dokumentów na nowo przerobiona i wydana.
24. **Wilhelm Tell** i jego sprzymierzeńcy, albo: Oswobodzenie Szwajcaryi. Opowiadanie z średnich wieków.
25. **Dziewica Orleańska.** Opowieść historyczna z zamierzchłych dziejów Francyi.
26. **Książę Eugeniusz** prawy rycerz. Opowieść historyczna.
27. **Młyn djabełski** na Górze Wiedeńskiej, czyli rycerz Ginter z Schwarzenau. Ciekawa powieść dla młodych i starszych.
28. **Echo z Afryki.** Pamiętnik wędrowca. Napisał Aleksander Borucki.
29. **Szkice z życia zwierzęcego.** Skreślił dla młodzieży i ludu Aleksander Borucki.
30. **Bliźnięta.** Historia wyjęta z życia ludowego.
31. **Dwie nowe powiastki dla dzieci.** Przełożone z niemieckiego.
1. Wolny strzelec. 2. Białe widmo na zamku Avenel.
- 32 i 33. **Józef Ignacy Kraszewski.** Jego życie i zasługi (z ryciną). Skreślił Aleksander Borucki.
Ten tomik podwójny o 144 stron., jest na pięknym papierze drukowany i opatrzone dobrze udanym portretem Kraszewskiego. Cena 40 ct.
- 34 i 35. **Nasze góry.** Malownicze opisanie Karpat i Tatr, oraz ich mieszkańców. Skreślił Aleksander Borucki. Tom 35. Karpaty, 36 Tatry.
36. **Ondraszek** słynny dowódzca zbójców w szląskim Beskidzie. Opowiadanie prawdziwe z zeszłego wieku, opracowane podług najlepszych źródeł historycznych. Z obrazk. Cena 25 ct. = 50 fen.
37. **Zły duch Lumpacyusz Vagabundus** czyli trójka hultajska. Bajka wielce pouczająca.
38. **Kara za grzechy.** Opowiadanie osnute na tle prawdziwém.
39. **Rybak, duch i król czarnych wysp.** Bajka.
40. **Krawiec czarnoksiężnik.** Ciekawe opowiadanie.
41. **Duch gór i jego siostry.** Powiastka dla dzieci wyższych stanów.
42. **Historya o niezwykłym rycerzu Zygfrydzie.** Ciekawe i zajmujące opowiadanie z przeszłości
43. **Tajemniczy duch.** Obrazek z Afryki południowej.
44. **Reinhold, cudowne dziecię.** Bajka
45. **Wendelin z Höllensteinu,** czyli dzwon umarłych o północy. Bajka.
46. **Gnom.** Ciekawa bajka z niemieckiego od W. Hauffa.
- 47 i 48. **Róża z Tannenburga** czyli zwycięstwo dziecięcej miłości. Powieść bardzo zajmująca i rzewna, dla młodzieży i ludu. Z niemieckiego ks. Krzysztofa Schmidta przepolszczona. Oprawne. Cena 45 ct. = 80 fen.

- 49 i 50. Cesarz Oktawian. Bardzo ci
ków średnich. Oprawne. Cena
51 — 53. Fortunat i jego Synowie. O
ich przygód i życia. Oprawne.
54. Kazimierz Skaza. Powiastka na
ksander Borucki.
55. Trzy ciekawe opowiadania czarow
(1 Zakleta księżniczka. 2. Czter
3. Książka czarodziejska.)
56. Zaczarowana sroka. Oryginalna
dzieży.
57. Pocciwy Antos. Książka dla dzieci, które chcą być grzecznymi,
z 24 rycinami. Oprawne. Cena 20 ct = 35 fen.
58. Dwie piękne historie o księciu Bruncwiku i Sztylfrydzie.
59. Dobry Frydolin i niegodziwy Dytrych.
60. Jaskinia Beatusa czyli lepiej krzywdę cierpieć, niż krzywdę wy-
rządzać.
61. Wspomnienia z podróży do Londynu. Skreślił ks. J. P.
62. Gwiazda narodu polskiego i całej ludzkości. W stuletnią rocznicę
powstania Kościuszki napisał Franciszek Kozdraś.
63. Imko, zwany Wiselką. Powieść na tle podania ludowego o pier-
wszych osadnikach u początków Wisły. Opowiedział B. Hoff.
Z obrazkami. 30 ct. = 50 fen.
64. Z naszej wsi. Jak Agata używała czarów, aby jej krowy dużo
mleka dawały? Z 9 rycinami w tekście. napisał Fr. Kozdraś.
65. Czarownica Czegedynu. Historyczne opowiadanie.
66. Wspomnienia z podróży do Ameryki. 30 ct. = 50 fen.
67. Dzielny wójt. Napisał Fr. Kozdraś.

Tomiki w okładce z przepysznym kolorowym obrazkiem.

200. Śnieżny grób w Sierra, czyli zagłodzenie w srebrnej minie.
201. Porwane dziecko. Opowiadanie z Turcyi.
202. Kama Samojedka. Opowiadanie historyczne.
203. Jeniec Szykitów. Powieść z życia indyjskiego.
204. Mareipotama, córka pampasów. Opowiadanie z kraju Indyan.
205. Wielkie skarby złota w Sierra Newada.
206. Na granicy kraju Indyan, czyli bezpieczna ręka. Powieść Meksy-
kańska.
207. Koloniści u źródeł rzeki Susquehannah.
208. Harold, król cyganów, czyli Skrzypce Edeleńskie. Opowiadanie
z Węgier.
209. Skalpierce południowej Ameryki, czyli na wyspach rzeki Uruguay.
Opowiadanie z kraju Indyan.
210. Bogufał, młody pustelnik.
211. Dobromił, czyli cudowne są drogi Pańskie.

Inne ciekawe dziełka wychodzą dalej.



Kzg 1 2857/67 100 000